Lwów, Niedziela dnia 2. Lutego 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. I.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

KŁOPOTY REDAKTORSKIE.

Tytuł powyższy powinien właściwie brzmieć trochę dłużej; nie chodzi tu nam o kłopoty redaktorskie w ogóle, ale o kłopoty, jakiemi obarczony jest redaktor pisma literackiego w Galicji.

Jeżeli pismo to jest na koszcie rządowym, jak np. „Przewodnik naukowy,“ dla którego mówiąc nawiasem za obrębem historji nie istnieje żadna inna nauka, lub na koszcie kilku możnych ludzi, pragnących rej wodzić nie tylko w polityce lecz i w literaturze, jak np. „Przegląd polski,“ w takim razie sfera kłopotów redaktorskich ścieśnia się i największa trudność, jaką napotykają redaktorowie pism podobnych, polega na tem, że nie mają oni naturalnych sposobów ożywienia pisma, którego nie są duszą, ale tylko redakcyjną machiną. Albo zatem uciekają się do sztucznych środków, jak to czyni organ krakowski, lub popadają w bizantyjską martwość, jak to ma miejsce z „Przewodnikiem lwowskim.“ Ale i o tych kłopotach nie mamy zamiaru więcej mówić nad to, co się powiedziało.

Chcemy tu naszkicować w kilku rysach kłopoty redaktora pisma literackiego w Galicji, któreby się urodziło ze szczerego zamiłowania w literaturze i ze szczerej chęci służenia sprawie oświaty i postępu.

Pismo takie już z góry, siłą politycznych stosunków, skazane jest na szczupłe koło czytelników, cenzura bowiem rosyjska nie przepuści go tam, gdzieby najwięcej właśnie mogło budzić echa. Na Poznańskie nie ma co liczyć: z jednej strony niemczyzna, a z drugiej życie nad stan tak podminowało biednych Poznanianów, że nie mogą oni się zebrać ani na wydawanie własnego porządnego pisma literackiego, ani na prenumerowanie niezależnych pism literackich z innych części Polski. Pozostaje więc sama Galicja, w jej tylko obrębie pismo, o którem mowa, może spodziewać się znaleść dla siebie czytelników.

Ale ta Galicja, pomimo niejakiego krzątania się około oświaty i dobrobytu, jest ciągle jeszcze krainą bardzo ciemną i ubogą. Gdybyśmy rozłamali pokład ludności galicyjskiej, ujrzelibyśmy w niej następujące warstwy: 1) warstwa pańska, 2) szlachecka, 3) urzędnicza, 4) duchowna, 5) wyższomieszczańska, 6) małomieszczańska, 7) chłopska i 8) żydowska. Trzy ostatnie warstwy nie mogą wcale wchodzić w rachunek, stanowiąc martwą bryłę, z której tylko od czasu do czasu odrywają się jednostki i wchodzą w skład inteligencji. Warstwa urzędnicza, bardzo liczna i stosunkowo dość ukształcona, jest nazbyt mizernie płatną, nazbyt obarczoną potrzebami materjalnemi, aby mogła swobodnie czynić zadość potrzebom umysłowym. To też urzędnicy jeżeli czytają pisma naukowe i literackie, to czytają je zwklye w kasynach, a na prenumerowanie ich zdobyć się nie mogą. Wyższego, zamożnego mieszczaństwa jest u nas na nieszczęście bardzo mało, a i w tej szczupłej warstwie nie wielu jest takich, dla których chleb umysłowy jest rzeczą niezbędniejszą, niż tarok lub preferans. Co się tyczy księży, to trzeba przyznać, że jest w nich może większe zamiłowanie do czytania, niż w innych warstwach, ale teologiczny kierunek zanadto ich odgradza od swobodnej literatury świeckiej, ażeby mogli tej ostatniej dostarczyć wielu czytelników.

Pozostają warstwy: pańska i szlachecka. Pierwsza pozostaje ciągle pod wpływem obczyzny i literatura swoja niewiele ją obchodzi, a jeżeli się nią zajmuje, to tylko wtedy, kiedy ta literatura pojawia się w ozdobnych okładkach na welinowym papierze i nosi imię arystokratyczne lub występuje w obronie arystokratycznych interesów. Naturalnie, są i w tej warstwie jednostki i całe rodziny, których serca biją zawsze w takt z sercem całego narodu, a więc których obchodzi literatura ojczysta, ale liczba ta także bardzo a bardzo mała. Nareszcie warstwa szlachecka, która najwięcej przechowała w sobie tradycyjnych cnót narodowych i narowów, to jest z jednej strony niepodległość myśli i miłość ojczyzny, z drugiej lekkomyślność, próżniactwo i szarą pychę, warstwa ta, dzięki niedołężnemu gospodarstwu i życiu nad stan, obarczona długami żydowskimi, jeżeli ją konieczność przyprze do robienia oszczędności, zaczyna oszczędzanie nie od ograniczania wydatków na wino, próżniaczą służbę, wystawne ekwipaże i tym podobne rzeczy zbytku, ale od tego co ją najmniej kosztowało, od pokarmu umysłowego, to jest przestaje kupować książki i prenumerować pisma.

W obec takiego stanu rzeczy postępowe pismo literackie w Galicji nigdy nie może liczyć na taką liczbę prenumeratorów, którąby mu pozwoliła rozwinąć skrzydła i zdobyć sobie niewzruszoną podstawę materjalną. Wydawca musi być z góry przygotowany na to, że świetnego interesu nie zrobi, ale niechże ma przynajmniej to moralne zadowolenie, że około pisma jego zgromadziła się drużyna czytających, nieliczna wprawdzie, ale ściśle zespolona z jego zasadami, pobłażliwa dla drobnych usterek i wierna w złych i dobrych czasach. Nie ma on zwykle jednak i tego moralnego zadowolenia; nasza publiczność czytająca jest albo niesłychanie apatyczna, gotowa czytać z jednakowem zajęciem, a raczej z jednakową obojętnością wszystko, cokolwiek jej w ręce wpadnie, albo też jest w drobiazgach zbyt wymagającą, i zbyt sprzeczne stawia wymagania, ażeby można było im zadość uczynić. Dla tego też nie może być silnie zadzierżgniętych węzłów pomiędzy pismem a jego prenumeratorami, którzy ciągle się zmieniając, w znacznej części prenumerują jakby od niechcenia, i jak nie wiedzieli dlaczego zaczęli prenumerować, tak też i nie wiedzą dlaczego przestali.

W takich warunkach o należytem opłacaniu pracy literackiej nie może być mowy, i redaktor nie może układać swego pisma tak, jakby chciał, tylko tak, jak musi. U nas wprawdzie dużo jest dyletantów piszących i tanio sprzedających swe utwory, ale pismo nie może żyć tem tylko, co mu przynoszą, musi zamawiać sobie materjał u lepszych pisarzy, ci zaś naturalnie każą sobie lepiej płacić. Zkądże tu dostać pieniędzy na ich opłacanie, gdy publiczność jest tak spiąca i tak

od niechcenia zajmuje się czytaniem pism polskich, jeżeli te nie są politycznemi, nie zawierają w sobie najnowszych wiadomości o wojnie, dżumie, nadzwyczajnych wypadkach, morderstwach, skandalach balowych etc.?

Jest jeszcze jeden sposób: wielka reklama. Sposób ten kosztuje trochę pieniędzy i gardła; o bladze nie mówimy, bo ta, jak woda i powietrze, jest do bezpłatnego użytku dla wszystkich. Wielką reklamą, sążnistymi, kolorowymi afiszami, ogłaszaniem nazwisk najznakomitszych autorów, zręcznymi artykulikami w gazetach codziennych, obiecywaniem rozmaitych dodatków, wyszukiwaniem rozmaitych protekcji, można w istocie upolować sobie z parę setek prenumeratorów. Ale czyż wielka będzie pociecha z takiego nabytku? Nie, zaiste, ludzie ci, ściągnięci do pisma nie wewnętrzną potrzebą umysłowego pokarmu, ale tylko hałasem drukowanym, nie długo będą przy niem popasali i trzebaby nowej reklamy, nowy tuman puszczać im w oczy, ażeby ich zatrzymać przy piśmie. Czyż to warto? Czy warto tak brnąć z blagi w blagę i to w interesie postępu i oświaty?

Artykuł niniejszy zostawiamy bez konkluzji, jak się zostawia wiele rzeczy na świecie. Zostawiamy otwartą kwestję, czy warto wydawać literackie pismo postępowe w Galicji i tylko dla Galicji, czy nie. My, wydając pismo o jakiem mowa, przechylamy się tem samem na stronę pierwszego zdania, ale kokluzja w tej mierze należy do czytającej publiczności.

POLITYCZNE KARJERY

Opowiadanie z naszych czasów

przez

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

Kiedy mam zaczynać niniejszy ustęp przychodzi mi na myśl pewne zdarzenie w teatrze. Grano, pamiętam, „Mazepę“ Słowackiego. Piąty akt się zaczynał, aktorowie jak mogli tak udawali: ten króla Kazimierza, inny wojewodę, inny Mazepę. Nie tyle jednak gra, ile sam dramat czynił wielkie na widzach wrażenie, objawiające się głęboką ciszą. Była to bowiem ta efektowna scena, gdy wojewoda nie mogąc słowami zatrzymać króla Jana w swoim domu, chwyta żylastą dłonią za antabę trumny, co kryła zwłoki jego syna i wlekąc ją namiętnie ku drzwiom mówi ochrypłym głosem:

> . . . żadnej nie użyję siły,
> Ale Ci królu drogę, zastąpią mogiły.

Jeszcze nie dokończył wojewoda tych słów, gdy na scenę wyleciał jakiś obtargany gość zakulisowy, ścigany widać doraźnym sądem inspektora teatralnego. Publiczność wytrzeźwiona tem nagle z tragicznego wrażenia głośnym śmiechem przyjęła *intermezzo*, a aktorzy pomięszani z zdziwieniem patrzeć musieli na nagły przechód tragedji w komedję.

Coś podobnego do owego zdarzenia widzę w obecnej chwili. Gdy na dziejowej scenie ojcowie i matki rzucają mogiły swych synów, by niemi wstrzymać carskie pochody i odgraniczyć się od jego opieki tym bolesnym murem, wielu ludzi, których miejsce najodpowiedniejsze w tłumie chórowym lub za kulisami, występuje na scenę i mięszają się w akcję niedorósłszy wzniosłości obecnych wypadków ani nauką ani męztwem ani charakterem. Są to karykatury więcej śmieszne niż podłe. Jedną z takich karykatur wystawię przed wami jak się wystawia obrazy na budach jarmarcznych. Patrzcie i śmiejcie się! a ten pogardliwy śmiech niech będzie prologiem czynów mojego bohatera.

W pokoju pięknie, ale trochę dziwacznie i z pretensją umeblowanym, siedział młody mężczyzna, a u nóg jego klęczał szewc i pomagał mu wdziewać nowe buty. Niech was to nie gorszy, że polityczny zawód mego bohatera zaczynam od tak lichej rzeczy. „Jak cię widzą, tak cię piszą“ — tego mniemania był mój bohater, tego mniemania jest większa część ludzi; chodzi mi więc o to, abym go ładnie ubranego przedstawił czytelnikom. Gdyby trochę więcej talentu epiczno-powieściarskiego, opis tej podstawnej części ubioru rozsiadłby się na kilku stronnicach, ale w braku tego, muszę opis zostawić fantazji czytelników, którzy wiele arcydzieł szewskiego kunsztu widzieć musieli. Kształt jednak i wielkość arcydzieła musiały nie dość być w harmonji z częścią, dla której były przeznaczone, bo na czerwoną twarz pana majstra kroplisty pot występował i młodzieniec marszcząc brwi z nieukontentowania pomagał mu, chcąc widocznie pokazać, że „nie tabakiera dla nosa, lecz nos dla tabakiery“. Zanim obaj skończą tę mozolną operację, my nieco o mieszkaniu i przeszłych losach młodzieńca powiemy.

Młodzieniec nazywa się... mospanie dobrodzieju, nazywa się... Apoloniusz Demokracki, nieukończony słuchacz gymnazjum, nadzwyczajny słuchacz uniwersytetu, kawaler (bez orderu), członek... cyt! „co w głębi, to na zawsze, dla wszystkich ukryte“. Pan Apoloniusz lubił tajemniczość, półsłowa, które kazywały się domyślać co było i czego nie było. Nie sprzeciwiajmy się więc jego upodobaniom zaraz z początku, a mówmy o „losach jego żywota“ (wyrażenie pana Apoloniusza). Pan Apoloniusz był synem... tu darujecie, znowu urywam, bo nie wiem. Bohater nasz nie rad mówił o swojem pochodzeniu, a gdy go kto zagadnął, robił poważną, ponurą postać, dwa palce zakładał za drugi guzik tużurka; (było to przedtem nim pan Apoloniusz przywdział czamarę), prawą nogę wystawiał naprzód i mówił: „Nie mówmy o tem, są dzieci, które sierotom zazdroszczą“. Panna Sempronja domyślała się strasznych, czarnych tajemnic pod zasłoną tych słów, my zasłony na teraz jeszcze nie uchylimy, bo nie jeden młody początkujący poeta weźmie ztąd pochop do napisania kilku ładnych wierszy *O sierocie niesierocie*. Pominę więc na teraz bajeczne dzieje bohatera, a przejdę do historji, która się rozpoczyna i rozświetlać zaczyna od szóstej klasy. Tu już pokazywać się zaczęły jego pojedyncze zdolności, szkoda tylko, że prawa szkolne tamowały ich rozwój publiczny i tylko małe grono zaufanych kolegów mogło ocenić zapoznanego geniusza.

Długo namyślał się nasz bohater nad obraniem sobie jakiego zawodu. Szkolne przedmiota nie odpowiadały jego usposobieniom. Nauki przyrodzone grubym trąciły materjalizmem i jakże nie gardzić niemi? Filologję niemieckim szperaczom zostawił, historję uważał za zbiór niepewnych, fałszowanych powieści. Szczęściem zakochał się, ta miłość stanowczo wpłynęła na jego losy i rzuciła go na drogę *poezji*. Przedmiotem jego miłości i jego poezji była hrabianka Marja. Przypadek rzucił ją jak niebieski promień na ciemne jego życie, jak sam mówił. My zaś damy do tego prozaiczny komentarz, że pan Apoloniusz dostał się w roli domowego nauczyciela do brata Marji, w dom hrabiego... hrabiego... ale po cóż nam wiedzieć którego? Zdaje mi się, że wszyscy hrabiowie podobni do siebie, jak strzyżone szpalery w francuskim ogrodzie, więc przestańcie na tem, że powiem: hrabia, bez nazwiska. Bo czemże nazwisko bez hrabiego?! Pan Apoloniusz zaś mawiał, czemże hrabia bez córki? Rzeczywiście panna Marja miała jakąś niezwykłą piękność, pełną tajemniczego uroku. Płeć nieco smagława, oko (a raczej oczy, bo oba miała) czarne, iskier pełne, głębokie, przepaściste, nakryte długiemi rzęsami, magnetyczny wpływ wywierały na młodych. Czula hrabianka siłę swych oczu, to też patrząc zmrużała je cudnie, jakby się bała, by od dyamentowego ich połysku, nie oociemniały oczy w nią patrzące. A może też nie wiedziała, tylko szczęśliwym kobiecym instynktem trafiła na to, albo może ulegała ogólnej chorobie swej rasy „krótkowidzenia“, mniejsza o to; dość że cudownie zmrużała oczy, że oczy te wielki wpływ czyniły na młodych. Pan Apoloniusz był młody, więc nie mógł się oprzeć czarom i przy każdej zdarzonej sposobności rzucał na nią przeciągłe, tęskne spojrzenia z głębokich swoich piwnych oczów. Szczególniej przy obiedzie czuł spotęgowanie swej miłości. W obec rodziców nieśmiało spuszczał oczy na zupę lub pieczeń cielęcą i mięszał się i z drżących rąk opuszczał łyżkę i chwytał za grabki, by niemi zupy zaczerpnąć; a to wszystko dlatego, bo mu się zdawało, że hrabianka Marja w jego zarumienioną twarz i czarną brodę topi wejrzenia, podczas gdy hrabianka także zajęta była zupą lub cielęcą pieczenią. Niestety i najcudniejsze kobiety jeść muszą.

Widziałem raz pannę o gazowych prawie kształtach, eterycznych ruchach i mówiłem w tajnikach duszy: *Anioł*; ale zobaczyłem raz jak z apetytem zajadała prażuchy i odtąd boję się najpiękniejsze kobiety aniołami nazywać. Dawniej inaczej było. Dawniej panny nie jadły, a przynajmniej w oczach młodych ludzi głodowemi męками się trapiły, jak potem wynagradzały sobie za kulisami te Tantalowe cierpienia, nie mnie w to wchodzić, dość że młody trwał w ułudzie przynajmniej aż do ślubu, że jego ukochana jest nie ziemską lub mało ziemską istotą. Dziś inaczej. Ja jednak dziś wolę, wolę widzieć kobietę, niż komedjantkę-anioła. Myślę, że i łaskawe czytelniczki przystaną na mój gust. Pan Apoloniusz zgniewałby się o to i piorunem w rymy ubranym rzuciłby na moją głowę za takie zasady, to też z nim i przy nim inaczej mówić będziemy. Pan Apoloniusz bowiem był uparty przy swojem zdaniu i zarozumiały. Zarozumiałość ta przyszła do niego wraz z poezją. Ja sam, który w młodości popełniałem śmiertelny grzech wierszowania, przypominam sobie tę słabość i zdawało mi się, że każdym wierszem Getego dościgam, że każdy cichy szept o mnie, że każdej kobiety spojrzenie dla mnie. *Mea culpa*, powiadam po śmierci mej muzy; ale pan Apoloniusz tego jeszcze powiedzieć nie mógł.

On miał zieloną wiarę w siebie. Nieraz gdy hrabianka znudzona muzyką opuściła na dół białe rączki, pan Apoloniusz patrząc na jej zadumę z drugiego pokoju, gdzie pióra dla ucznia temperował, myślał: ona o mnie marzy, więc chrząkał, by nie tylko myśli ale i oczy hrabianki skierowały się ku niemu. Ale napróżno. Szukał więc innej sposobności wylania swoich uczuć (wyrażenie nie moje). Chciał aby hrabianka dowiedziała się, że ten, co taki cichy i nieśmiały w obec niej, że ten sam nosi na swej skroni znak namaszczenia i wieńce poety. Wnet padł na pomysł. Panna Marja czytywała różne dzienniki polityczne i literackie. W dziennikach literackich tyle wierszy z napisami: Do ***, Wyznanie, Symfonia życia itd. czemuż by i on nie miał w ten sposób wyrazić swój sentyment? Zebrał więc *kilkaset* co dobrańszych wierszy i „puścił w świat z takiem sercem z jakiem matka swoje dzieci", inaczej mówiąc zapieczętował w ogromną kopertę i na wierzchu z bijącem sercem napisał: *Do szanownej Redakcji*.

Od tej chwili innemi oczami patrzał na ów dziennik, z drżeniem brał go do rąk spodziewając się znaleść tam swoje nazwisko *wydrukowane*! A ile razy widział hrabiankę Marję odbierającą gazety od lokaja, tyle razy oczy spuszczał w ziemię niby Tasso, gdy klękał po wieniec i wstydliwo-autorski rumieniec opromieniał mu policzki i koniuszek nosa. Tak mijały tygodnie, miesiące. Coraz nowe wiersze czerniły się w Dzienniku, a jego—nie było! Zmarszczył się i napisał jeszcze jeden list żądając wytłumaczenia. Niedługo w korespondencji Dziennika wyczytał odpowiedź: „Wierszy pańskich drukować nie możemy, w każdym czasie odebrać je pan możesz". — Tego było nadto. Pan Apoloniusz napisał tej nocy wiersz długi: o zapoznanych genjuszach, o zimnym świecie i t. d. Ale hrabianka nie należała do tego zimnego świata, ona powinna, ona musi wiedzieć jaki wulkan uczucia kłębi pod zastygłą skorupą jego piersi. Jednego więc dnia w powieść „Wczoraj" która z upodobaniem odczytywała hrabianka, włożył starannie przepisaną balladę *Rozdarte serce*, a u spodu jej położył D. z kropkami.

Nieszczęście czy też szczęście (jak to później zobaczymy) chciało, że hrabiemu tego dnia po czarnej kawie zebrało się na sen,— na literaturę, t. j. siadł przy oknie i ziewając począł przewracać kartki. Z książki wyleciał na ziemię papier różowy; hrabia podniósł, powąchał (bo papier okropnie pachniał piżmem), przeczytał napis i spytał syna: czy to nie jego deklamacyjka?

— Nie, tato, to pana Apoloniusza pismo. On pisuje wiersze i nieraz na moim kajecie pisze całą lekcję.

To mówiąc skoczył do swego stolika i pokazał ojcu okładki kajetu zapisane ćwiczeniami poetycznemi jak np. dzień, cień, pień, sień, weń, rdzeń, leń i t. d.

Hrabia skrzywił się, z większą uwagą odczytał wiersz i z powodzi kwiatów, chmur, gwiazd, jakich pełne były wiersze, wcale nieprzyjemny dla siebie sens wyciągnął. Wziął kartkę i schował. Na drugi dzień rano pan Apoloniusz wszedł do salonu, chwycił książkę, przewracał kartki, wytrząsał, o radości! kartki nie było, ale i odpowiedzi nie było; tylko suchy listek wyleciał z książki. To od niej. Położył liść na bijące łono i ośmielony tym botanicznym symbolem za liść włożył list, ale zawsze w rymach. Tym razem hrabia umyślnie zajrzał do książki, wyjął oświadczenie, przeczytał i poszedł do pokoju poety. A jako był człowiek wykształcony i dobrze wychowany, więc burdy nie robił, ale grzecznie oddał kartkę zmięszanemu poecie i cedząc powoli słowa mówił.

— Radzę panu chować gdzieindziej swoje utwory, w książce zatracić się mogą, a to szkoda.

Ten wypadek miał stanowczy wpływ na charakter i życie naszego bohatera. Znienawidził arystokrację, przeklął ją klątwą Pankracego i Dantony, Maraty, Robespiery (imiona znał z encyklopedji) snuły mu się po głowie.

Niechcąc by ktoś ironicznego tonu, z jakim witam demokratyczne usposobienie mego rycerza, rozciągnął do samejże demokracji, kilka poważniejszych słów o tem powiedzieć muszę.

Tak zwana demokracja naszych czasów, a szczególniej demokracja polska, jest czemś całkiem różnem od demokracji starożytnych ludów, od demokracji francuskiej, od demokracji, jaką nam autor „nieboskiej" wystawił. Nasze demokratyczne pojęcia mające wyraźne piętno słowiańskie, nie przywędrowały z Zachodu, ale zostały rozbudzone przez Zachód, a zasady ich: równość w obliczu Boga i prawa a w towarzyskim pożyciu nie starszość rodów i przywilejów stanowi o wyższości i zacności człowieka, ale moralna i intellektualna potęga. Celem demokracji: coraz większe kształcenie i umoralnienie ludzkości. Zasada więc Chrystusowa i cel chrześcijański, a jako taka demokracja ma wsobie siłę żywotną i pewność zwycięstwa. Czemże się więc dzieje, że herb[illegible]nicy w kołyskach już straszą swe dzieci tą marą czerwoną? czem się dzieje, że najświętsze zasady ciągle jeszcze z krwawym mieczem zemsty w dłoni a nie z berłem spokojnego panowania? Jedna połowa winy leży na sprzymierzeńcach hrabiego Henryka, a druga na Pankracym i jego tłumie, na ludziach takich jak pan Apoloniusz, którzy najdespotyczniejsze zachcenia, osobiste cele kryją pod płaszczem demokracji. Pseudo demokraci są największymi arystokratami dla niższych od siebie. Nienawiść ku wyższym i pragnienie zrównania się z nimi, to jedyny cel wielu pseudo demokratów. Przyczyną tego brak poczucia własnej godności, swoich praw. Ale dość o tem. Zle mi w tej poważnej todze, nudno mi powtarzać to, o czem wszyscy wiedzą, ale nie wszyscy chcą *Veniet tempus*.. a tymczasem wrócimy do pana Apoloniusza, który od ostatniej nieprzyjemności zakroił się mniej więcej na ton tak poważny, jak moich kilka słów poprzednich. W tym bowiem czasie porzucił szkoły gimnazjalne i został *nadzwyczajnym* słuchaczem uniwersytetu. Ludzie niewtajemniczeni w urządzenia uniwersytetu możeby źle wytłomaczyć mogli tę nadzwyczajność słuchania, dlatego robię tu mały przypisek, że słuchaczem nadzwyczajnym jest ten, który nie jest zwyczajnym, jestto pierwsze piętro bez schodów, jestto coś takiego jak pan Apoloniusz. Mimo tego za murami wszechnicy nikt nie wątpił, a przynajmniej głośno nie wątpił o jego akademiczności i pan Hilary, posiadacz małej kamieniczki i dziewięciu córek, zawsze mawiał: „to ten akademik, co u mnie na górze mieszka i u nas często bywa". Rzeczywiście wizyty pana Apoloniusza u panien Hilarownych były co dzień częstsze. Panny: Efrozyna, Gertruda, Katarzyna, Filomena, Ksawera, Balbina, Pelagja i Elżbieta wysilały się w okazywaniu swych talentów, wdzięków i grzeczności.

Więc gorącą kawą częstują, słodkiemi spojrzeniami, więc panna Pelagja bije z siłą wyrównywającą jej uczuciu w stary klawicymbał, a panna Eufrozyna nuci przy tym akompaniamencie ową pieśń (nie wiem czy znacie) Och gwiazdeczko, coś bły.... Inne pożerają chciwie romanse, jakich dostarcza pan akademik i wyrywając sobie nawzajem słowa, szczebiocą:

Jedna: że w *Żydzie wiecznym* jest cudowna literatura polska.

Druga: że płakała nad *Rynaldynim*.

Inna: że *dałaby niewiedzieć co*, żeby mogła dostać *Tajemnice Paryża* i t. d.

Pan Apoloniusz rozkoszował jak Basza wśród tych oświadczeń się panien — pił kawę, słuchał muzyki, chwalił śpiew, z panną Elżbietą mówił o fuksjach, z Ksawerą o kanarkach, dla panny Gertrudy rysował deseniki, Filomenie modlitwy przepisywał. Cóż to dopiero była za radość, gdy im wiersze swoje przynosił lub własnoręcznie do imionika wpisywał. Przy wyrazach: łza, gwiazda, tęsknota, serce, ból — panny aż sapały od westchnień, mało co z całości rozumiejąc (podobno i pan Apoloniusz nie wszystko rozumiał) i częstemi wykrzykami przerywały czytanie rozpromienionego poety. Tu znalazł to, czego daremnie szukał na pańskich salonach: *gorące serca* i uznanie. Tego było jemu dosyć; ale nie dość było pannom. Im szło o dokumentne przekonanie się, którą z nich pan akademik za dozgonną towarzyszkę obierze. Różne stawiano horoskopy, różnych używali sposobów i rodzice i panny aby tę zagadkę rozwiązać. Panna Eufrozyna rościła sobie pierwsze prawo jako najstarsza. Miała lat... nie wiem, bo i pan Apoloniusz nie wiedział; inne siostry tylko się domyślały, a dokumentnie wiedział tylko ojciec, który dzień jej urodzenia zapisał sobie na książce do nabożeństwa i ksiądz proboszcz, który metrykę pisał. Najmłodsza panna Elżbieta mająca lat 19 rościła sobie także najpierwsze pretensje mając za sobą: młodość. Pana Barbara utrzymywała: że na nią najwięcej patrzy, pana Pelagja, że jej najwięcej słucha; panna Katarzyna, że z nią najwięcej rozmawia. Zgoła każda miała pewne nadzieje; starcie się tych nadziei wywoływało nieraz okropne sceny, których świadkiem był mały, czarny kotek i żółty kanarek. Za przyjściem jednak pana Akademika znikała nienawiść i panny aż piszczały — na tak słodki i wysoki ton nastrajały swoje głosiki. A na dzień 7. lipca jakże się ubiegały w podarunkach. Ta piórko do zębów z paciorkami, ta szelki, owa czapeczkę, inna serce z włóczki jako podstawka na zegarek, inna łańcuszek z włosów — wszystko to, niestety! tylko dla tego, aby się można nazywać panią Demokracką. O panny! o kobiety! mógłby tu o was szeroką rozprawkę napisać, ale zostawiam sobie tę przyjemność na później, kiedy da Bóg doczekać ożeniwszy się — w małżonce mojej przyszłej poznam lepiej tajniki waszych kombinacji małżeńskich.

*

Pan Apoloniusz czy przeczuwał to wielkie pragnienie kryjące się pod tak różnemi postaciami, czy też nie miał intencji namyślać się nad wyborem — dla wszystkich panien a nawet i dla matki był jednakowo uprzejmy. Najsmutniej wypadła ta rzecz dla pana Hilarego, jemu potrzeba było stanowczej decyzji, aby mógł jasno wypowiedzieć, które córki *są jeszcze na wydaniu* — a tu ani rusz domyśleć się. Nieraz w niedzielę idąc na spacer mając pod jedną ręką czerwony parasol, pod drugą dostojną małżonkę obszernych rozmiarów, a przed sobą 9 córek w białych sukniach i wśród nich pana Akademika — różne czynił postrzeżenia i udzielał je od czasu do czasu swojej połowicy.

— Co myślisz Kasiu — mówił raz na Bielanach siadając strudzony i ocierając pot z łysiny kolorową chustką — pan Akademik wyraźnie się ma do Gertrudy — całą drogę tedy z nią i z nią.

— A jabym sądziła, że do Kasi. (Kasia była ulubienicą matki).

— Do Kasi myślisz? — może i masz słuszność i zamyślił się pan Hilary, gdy go ocucił głośny pisk Pelagji, którą w roli myszki pochwycił kot-akademik i na tłustej rączce ognisty wycisnął pocałunek. To mu do reszty pomięszało myśli.

Wy matki i wy ojcowie, których opatrzność obdarzyła tak anielskiemi stworzeniami jak są córki i to mniej więcej w takiej liczbie jak pana Hilarego — wy pojmiecie jego troski — dla tego do was i dla was ten ustęp. Inni mnie i was nie pojmą i śmiać się będę. Ale dla czego się śmieją? musi coś śmiesznego być w tych troskach pana Hilarego, bo w obliczu prawdziwych smutków śmiech albo kona lub się w podłość przeradza. Może i mają słuszny powód śmiać się. Wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi — więc wiedzą także, że o pannę Eufrozynę starał się porządny i uczciwy majster stolarski — panna Eufrozyna, choć także córka stolarza, pokręciła noskiem, pan Hilary czuł się obrażonym, poniżonym. O pannę Gertrudę starał się ekonom – odmówiono. Panna Pelagja ufała, że kobieta z takim talentem jak ona (zapewne sobie czytelnicy przypominają sławny akompaniament do gwiazdeczki) znajdzie lepszą partję niż z jakim rurą, coby się na niej nie poznał. Tak wszystkie panienki w górę zadarłszy noski czekały na doktorów, profesorków, albo nareszcie lada jakich pisarków, byleby nie rzemieślników. Pan Hilary w tym względzie zupełnie szedł za zdaniem córek. „Nie na to tedy mości dobrodzieju dawał *córkom edukacją*, by ich za lada prostego człowieka wydawać. Otóż znowu mamy arystokrację. Albo pan Hilary za podły uważał stan, który dostarczał całej familji pożywienie i córkom po 18 sukienek rocznie, po 9 kapeluszy, po 27 par trzewików etc., albo pan Hilary nie był przy dobrym rozsądku. Smiejmy się więc z niego, ale spojrzyjmy pierwej na siebie, by nam ktoś równą miarą śmiechu nie odpłacił.

Stan mieszczański ma wszystkie warunki samodzielnego bytu, brak mu tylko poczucia swych praw, swej godności, aby stanął na czele. Zbogacony mieszczanin choruje na pana, zubożony nienawidzi arystokratów. Środka nie ma. Mieszczańskie córki uczą się na gwałt francuskiego języka i muzyki, bo hrabianka Z., baronówna X. mówią dobrze po francusku i ślicznie grają na fortepianie. Nie przeczę, że tam gdzie są zasoby, gdzie nie połowiczne, dorywcze, ale zupełne wykształcenie dać można — tam dać potrzeba, ale obok wpoić w córkę to przekonanie, że w każdym stanie wykształcenie przydać się może, że w każdym stanie z uczciwym mężem szczęście znaleźć może. Tymczasem odwrotnie się dzieje. Wykształcenie dorywcze — a pretensje ogromne. Rozmówki francuskie i kilka tańców na fortepianie — i koniec edukacji. Mniejsza jeszcze z francuskim — nie chcesz, nie słyszysz; ależ muzyka — ta nieszczęśliwa muzyka, gdzież nią dziś nie częstują? Jednego roku, przypominam sobie, mieszkałem tuż przez ścianę obok trzech panien i matki. Matka grywała walce wieczór, najmłodsza córka gamy rano — najstarsza cały dzień grała cztery kawałki: pieśń o róży — och gwiazdeczko — mazurka i modlitwę — za każdym razem myląc się zaczynała na nowo. Talent to był prawdziwie Orfeuszowski, bo we mnie wszystkie nerwy tańcowały podług taktu (a raczej nie taktu.) Tak było przez pięć miesięcy! — Próżno prosiłem, żeby przez litość dla mnie i dla fortepajnu przestala, próżno potem wyśmiewałem – nazwano mnie niemuzykalnym, a panna czterech kawałków dalej się uczyła. Przypominało mi to bajeczkę o tej żabie, co się w wołu rozdymała. Żaba podobno pękła — panna gra wciąż.

I jakże się tu potem nie śmiać ze starej panny? Czy i panny Hilarówne ten los czekał? nie wiem, zobaczymy. Nadchodzi bowiem stanowczo chwila, w której bohater nasz porzuci niewdzięczną poezję. Wśród tak gwałtownych wstrząśnień niepodobna żeby i płeć piękna reprezentowana tu przez 9. panien coś nieucierpiała. Szło o jakąś demonstrację, której się wielu bało rozpocząć. Pan Apoloniusz nie mający nic do stracenia, a wiele do nabycia rzucił się w to na oślep. Było to coś podobnego, jak gdy ktoś zgrawszy się do grosza rzuca jeszcze ostatni pierścionek, by albo wszystko stracić albo coś nabyć. *Nadzwyczajność* bowiem jego w Uniewersytecie dawała mu tytuł, ale więcej nic. Więc się zrezygnował na *męczennika politycznego*. Gdzie szło o jaką demonstrację, tam on pierwszy, tam innych zagrzewał. Ładnie to było ze strony pana Apoloniusza i ludzie podziwiać musieli jego śmiałość, rezygnację — my, którzy go i za kulisami widzimy, inaczej nieco patrzeć na te czyny bohaterskie będziemy. Nietajno nam bowiem, że pan Apoloniusz po całych dniach wysiadywał u państwa Hilarych, a szczególniej w czasie obiadu i kolacji, że pan Hilary i panny coraz były natarczywsze, coraz częściej pytały pana Apoloniusza, jak daleko ma do egzaminów, jaki sobie zawód obiera i t. d. A tu pan Apoloniusz nie tylko niechciał, ale nawet nie mógł o tem myśleć. Koza więc było to upragnione asylum, do którego miał się schronić przed naciskiem egzaminów, panien, opinii, a po wyjściu z niej gotował sobie już patetyczny frazes: jestem skompromitowany, karjera moja skończona. Ztąd protekcja, jakie takie wsparcie, prywatna posada — oto były nadzieje pana Apoloniusza. Ale czasu dużo upływało, a jego do kozy jak nie biorą tak nie biorą. To go przyprowadzało do desperacji, do szaleństwa, co dzień więcej się narażał, co dzień był namiętniejszym. Ludzie po mieście gadali już wiele o nim, jedni chwalili odwagę i zapał, inni nazywali to szaleństwem; jedna tylko koza obojętnie patrzała na gimnastyczne usiłowania swego aspiranta. Za to ktoś inny poznał się na nim. Jednego dnia po jakiejś demonstracji jakiś młody człowiek wszedł do jego pomieszkania, dziękował za gorliwy patryotyzm, mówił wiele o obecnych stosunkach, (na co pan Apoloniusz milczeniem odpowiadał, bo o stosunkach obecnych nic nie wiedział) i w końcu zaprosił go na wieczór do swej ciotki panny Sempronii. Pan Apoloniusz niewiedział dla czego, ale to nieprzeszkadzało mu robić tajemniczej miny w gronie dziewięciu panien, a gdy go panna Eufrozyna zagadnęła, czy jutro wieczór nie pójdzie z niemi na Różańcowe nabożeństwo do kościoła, odpowiedział tajemniczo: jutro żadną miarą nie mogę.

Na drugi dzień z niecierpliwością oczekiwał wieczoru, co chwila poprawiając na sobie ubranie, aż zbliżył się upragniony moment. (C. d. n.)

Z HYGJENY SZKOLNEJ.

I.

NAUKA GIMNASTYKI.

napisał

DR. ADAM ZAGÓRSKI.

Nie sądzę, aby było potrzeba rozpisywać się o konieczności nauki gimnastyki, ponieważ doświadczenie najdobitniej wykazało zbawienny wpływ i niezbędność tej nauki. Dziwnem się jednak wydaje, że dopiero w nowszych czasach przyswojono tę część wychowania, która była tak rozpowszechnioną w starożytnej Grecji i której naród ten zawdzięczał znakomity swój rozwój. Jest nadzieja, że się nie rozstaniemy z nią więcej i że nie będziemy kształcić tylko ducha, nie uwzględniając jego cielesnej wzgardzonej osłony. Rozprawa *Lorinsona* „zum Schutze der Gesundheit in den Schulen", z r. 1836 wiele się przyczyniła do wprowadzenia gimnastyki do szkół. Poruszyła ona cały świat pedagogiczny, dała silne podwaliny do tej nauki i wywołała błogosławiony skutek.

W nowszych czasach wiele pisano o gimnastyce i prawodawstwo wprowadziło w wykonanie wszystko, czego może żądać hygjena i co tylko godnego pojawiło się w broszurach i rozprawach, dotyczących tego przedmiotu. Nam pozostaje streszczenie rozporządzeń rządowych i zwrócenie uwagi na dalszy rozwój tej tak ważnej kwestji.

Nauka gimnastyki powinna być obowiązkową we wszystkich szkołach i prowadzona z tą usilnością, jak każda inna nauka. Błędnem jest mniemanie, że dzieci wieśniaków, które muszą ciężko pracować i wiele chodzić, nie potrzebują gimnastyki, ponieważ zajęcia ich i sposób życia sprowadzają ten sam skutek, co i gimnastyka. Przeciwnie doświadczenie uczy, że im więcej jarzmo pracy przygniata młodzież wiejską, tem więcej traci ona elastyczności i zręczności, właściwej młodemu wiekowi, staje się nieradną, powolną i ociężałą. Ten jednostronny wpływ wielkich natężeń cielesnych równoważy się przez ćwiczenia gimnastyczne, które pobudzają zgodne działanie sił, czynią ciało elastycznem, zręcznem i sposobnem do lekkich, szybkich ruchów i usuwają ociężałość, nieradność i gnuśność.

Do wykonywania ćwiczeń gimnastycznych

potrzebne są odpowiednie miejsca: sale i place gimnastyczne, odpowiednie przyrządy i odpowiedni nauczyciel.

Sala gimnastyczna powinna być szeroka i jasna. Wielkość jej zależy od liczby uczniów, pobierających naukę gimnastyki. Podług *Varrentrappa* 8mio klasowa szkoła wymaga sali szerokiej na 10 metrów, długiej na 25—30 metrów, wysokiej na 7—8 metrów. Trzeba się starać o dobrą wentylację sali z powodu łatwego zanieczyszczania powietrza kurzem. Dla uniknięcia skaleczenia przy ćwiczeniach mają być dobre materace, które dla uwolnienia z prochu należy często trzepać. Przyrządy gimnastyczne powinny być mocne i trwałe.

Każda szkoła powinna mieć plac do zabawy. Ze stanowiska lekarskiego żąda się, aby jego wielkość zastosowana była do liczby uczniów (około 3 m □ dla jednego ucznia podług Varrentrapa), aby nie podlegał przemoczeniu podczas deszczu i nie wydzielał kurzu podczas posuchy. W tym celu należy go wyłożyć grubym zwirem i podczas lata 2 razy dziennie polewać wodą. Plac do gimnastyki powinien być oddzielony od placu do zabawy; nie wolno uczniom nań chodzić bez nadzoru nauczycieli, aby przy bezmyślnem użyciu przyrządów gimnastycznych, nie sprowadzili sobie jakiego nieszczęścia.

Byłoby bardzo zbawiennem, gdyby nauczyciele gimnastyki, obok rozumienia swojej sztuki, znali niektóre prawa fizjologiczne i anatomję. Ważną jest znajomość prawa krążenia krwi, mechaniki skieletu, działania mięśni, przeciwdziałania pojedyńczych grup mięśni, mechaniki oddychania, jakoteż wiadomość o wielkości siły mięśni w rozmaitym wieku. Przy ćwiczeniach gimnastycznych nauczyciel powinien mieć ciągle zwróconą uwagę na każdego ucznia. Dla tego też liczba uczni dla jednego nauczyciela nie powinna być wielka. Nieuwaga w szkole zapobiega zbytecznemu natężeniu ducha; przy nauce gimnastyki rzecz ma się inaczej: dziecko bawi się i natęża siły nieraz do ostatecznych granic, a chęć współzawodnictwa i ambicja są u dzieci silniejsze w ćwiczeniach cielesnych, jak w duchowych. Żadne dziecko nie chce wydać się słabszem i pracuje aż do wycieńczenia. Można temu zapobiedz, gdy nauczyciel uważa na każde dziecko i usuwa go, jak tylko spostrzeże zmęczenie. Pozna on zmęczenie po szybkim oddechu, po ciemnej czerwoności lub wielkiej bladości twarzy i po niezręcznem wykonywaniu przepisanych ruchów. Z tego powodu każda klasa powinna osobno pobierać naukę gimnastyki.

Czas, w którym ma być udzielana nauka gimnastyki, powinien być odpowiednio wybrany. Nie zawsze jednak da się to zastosować, bo często kilka szkół ma jedną salę gimnastyczną. Obowiązkiem jest rządu i władz szkolnych starać się o to, aby każda szkoła miała osobną salę. Miejsce takie nie powinno być zbyt odległe od szkoły. Gdy dotyka dziedzińca szkolnego, każda pauza może być użyta na mniejsze ćwiczenia. Właściwa godzina gimnastyki nie powinna być między godzinami innych nauk, bo dziecko zmęczone, nie może na wykład uważać, dla tego też doświadczenie pedagogiczne wskazuje, że nauka gimnastyki ma się odbywać na końcu innych nauk lub podczas wolnego popołudnia. Hygiena nie ma nic do zarzucenia, gdy dzieci gimnastykują się przed południem, można im wyznaczyć godzinę 11—12, aby podczas wolnego popołudnia ćwiczyła się starsza młodzież. Zresztą zależy to od podziału całego planu nauk.

Egzamina i klasy z postępu w ćwiczeniach gimnastycznych są bardzo dobre. Jednakże nauczyciele powinni o tem pamiętać, aby nauka odbywała się jednostajnie, a nie męczyć dzieci przez kilka ostatnich tygodni przed terminem egzaminu, jak to się nieraz niestety dzieje z innemi naukami. Ciało jeszcze trudniej znosi takie natężenie jak umysł, i mogłoby się zdarzyć, że słabowite dzieci odniosłyby z tego szkodę na całe życie. Nauczyciele gimnastyki powinni się wyrzec chęci brylowania zręcznością swoich uczniów i złym jest taki nauczyciel, który zaspokaja swój punkt honoru, kosztem zdrowia powierzonej mu młodzieży. Władze szkolne powinny ściśle kontrolować naukę gimnastyki i przestrzegać przed przesilaniem uczniów.

Nauka gimnastyki musi być obowiązkowa dla dziewcząt, podobnie jak dla chłopców. Już *Likurg*, uznawał konieczność tego, skoro polecił, aby przędzeniem i ręcznemi robotami zajmowały się niewolnice, a nie wolne obywatelki, i dla tego podobnie jak dla chłopców przepisał ćwiczenia cielesne dla dziewcząt, chcąc ich wychować na zdrowe matki. Naturalnie, że inne są ćwiczenia dla płci pięknej, jak dla rodzaju męskiego. U chłopców rozchodzi się o rozwój energji i siły, a u dziewcząt o wdzięk i piękność, polegające na fizycznem zdrowiu. Bliższe zastanowienie się nad jakością ćwiczeń dla dziewcząt nie może tu mieć miejsca, ponieważ zadaniem naszem jest dać tylko ogólny pogląd na naukę. Nie potrzebuję o tem mówić, że do udzielania nauki gimnastyki dziewczętom stosowniejsze są nauczycielki jak nauczyciele.

Uwolnienie od gimnastyki może mieć miejsce tylko wskutek świadectwa sumiennego lekarza. Lekarze powinni być bardzo ostrożni w wydawaniu takich świadectw i całe przyszłe rozwijanie się dziecka zależy od odbytych ćwiczeń cielesnych, żadna metoda kuracyjna i późniejsze wychowanie nie zastąpią tych ćwiczeń za pierwszej młodości. Nie trzeba mieć względu na bojaźń często nierozsądnych rodziców, którzy szukają dobra dla dziecka tam, gdzie go nie ma, to jest w rozdelikaceniu ciała i błędnem rozwijaniu charakteru, lecz należy poprzednio dokładnie zbadać dziecko i przekonać się, czy rzeczywiście nie może znosić ćwiczeń cielesnych.

Rzadko się trafia, aby stan ciała był wprost przeciwny gimnastyce; wstrzymany rozwój ciała, tak zwane delikatne dzieci, które dla tego często są uwalniane od gimnastyki, należy właśnie do niej pobudzać, bo tym tylko sposobem uzupełnią braki cielesne. Dzieci powstałe z ostrych chorób tak długo mają być wolne od gimnastyki, dopóki ich wyglądanie i apetyt nie powrócą. Od ćwiczeń na przyrządach wolne są dzieci z porażeniami pojedyńczych części ciała, z wyleczonemi chorobami stawów, z padaczką i tańcem św. Wita. Te dzieci mogą odbywać wolne ćwiczenia, lecz wymagają wielkiej uwagi, aby sobie nie zaszkodziły. Dzieci suchotnicze mogą się gimnastykować, jeżeli znajdują w tem przyjemność i gdy się nie skarżą na jakie dolegliwości. Czasowe uwolnienie od ćwiczeń (oprócz obłożnych chorób) mogą uzyskać dzieci, cierpiące na silny kaszel.

Do nauki gimnastyki należą wszystkie ćwiczenia cielesne, które mogą nadać ciału siłę i zręczność, wzmocnić odwagę i rozwinąć energję charakteru. Tu należy przedewszystkiem *pływanie*. Takowe nietylko że pobudza rozwijanie się ukrytych w ciele przymiotów, lecz służy zarazem do zahartowania ciała przeciw wpływowi powietrza i nagłej zmianie temperatury, ponieważ odbywa się w zimnej wodzie. Dla tego też, chociaż działanie to jest zbawienne, wymaga wielkiej ostrożności, nie jest odpowiednie dla każdego dziecka i tu częściej ma miejsce uwolnienie jak przy gimnastyce.

Nauka pływania powinna się także odbywać pod okiem odpowiedniego nauczyciela. Chłopcy mogą się uczyć pływać po ukończeniu dziewięciu, dziewczęta po ukończeniu dziesięciu lat życia; wymaga ona pewnej siły mięśni, która się najlepiej wyrabia przez poprzednią naukę gimnastyki. Temperatura wody ma wynosić nie mniej jak 16° R. Nim dziecko wejdzie do wody, musi przedtem ochłodnąć, oddech i puls muszą być spokojne, skóra niespocona. Dla tego też nauczyciel powinien obmacać każde dziecko, zanim takowe wejdzie do kąpieli. Dłużej nad 15 minut nie wolno pozostać w kąpieli, a gdy przedtem dreszcz przyjdzie, w tej chwili wyjść z wody. Po wyjściu z wody i zatrzymaniu się na brzegu z odkrytem ciałem nie wolno powtórnie wejść do kąpieli. Ćwiczenia w pływaniu muszą być zastosowane do sił dziecka, i należy uwzględniać, gdy dziecko narzeka na zmęczenie i nie trzeba także wystawiać na ostrą próbę bojaźni dziecka, lecz przyzwyczajać go stopniowo. Po wyjściu z kąpieli trzeba ciało dobrze wytrzeć i szybko się ubrać. Po kąpieli poleca się wolny spacer, gdy powietrze sprzyja, a głównie gdy nie ma silnego wiatru.

Dzieci nerwowo chore jak epileptyczne, z porażeniami i chorobą Śgo Wita, nie powinny się kąpać; podobnież chore na serce i płuca, rekonwalescenci po ostrych chorobach, a nawet takie, które kaszlą i kichają (z katarami). Nauczyciele muszą o tem pamiętać, że na katary u dzieci trzeba bardzo uważać, bo zaziębienie może sprowadzić groźne choroby płuc a nawet suchoty; z drugiej zaś strony nie ma lepszego środka nad zimną kąpiel, aby zahartować delikatne, blade dzieci, którym szkodzi najsłabszy powiew wiatru, jeżeli się go używa z pewną ostrożnością, bez zadania gwałtu i dla tego przy nauce pływania potrzebny jest nadzór lekarza.

Do zakresu gimnastyki należy *nauka tańcu*. Dobrzeby było z wielu względów, aby ta część gimnastyki odbywała się także pod okiem i kierunkiem szkoły. W pierwszej linji zapobiegłoby się nadużyciu ze strony nierozsądnych rodziców, którzy męczą dzieci 3—4 razy na tydzień tańcami, gdy przyjdą znużone umysłowo i cieleśnie ze szkoły i to zwykle wieczorem, gdy czas iść spać. Po większej części odbywa się ta nauka w sposób przeciwny wszelkim zasadom pedagogji i hygjeny; szczególniej cierpią na tem małe miasta, w których nauki tańca udzielają ludzie przejezdni, niewykształceni i często moralnie upadli, poświęcający się temu powołaniu z potrzeby, gdy ich nadzieje w innych zawodach zostały zawiedzione. Z pominięciem głównej zasady, aby każda nauka, udzielana dziecku, wpływała na rozwój ciała i ducha, obciążają pamięć dziecka szeregiem rozmaitych tańców, nie starając się o poprawienie ruchów i postawy jego, jednem słowem o wprawianie czynności mięśni i kształcenie pojęcia piękności i proporcji; o sile organów oddechowych, nie mają nawet pojęcia. Gdy zaś chłopcy i dziewczęta pobierają wspólnie tę naukę, nabywają sposobów wyrażania się niewłaściwych młodemu

wiekowi, a co najgorsze, pretensji, i widzimy wiele złego, które powinni usuwać tak nauczyciele jakoteż i lekarze. Nieumiejętność tańca pobudza na wpół dorosłą młodzież po skończeniu szkół do nabycia tej sztuki, a ponieważ w tym właśnie okresie życia rozwija się łatwo drażliwość zmysłów, więc otwiera się droga namiętnościom, i nierzadko się trafia, że zniszczenie całego przyszłego szczęścia zaczyna się od tej nauki. Wszystkie te powody, które niestety potwierdza doświadczenie, a nawet historja kryminalna, zniewalają do tego, że nauka tańca powinna się odbywać pod nadzorem szkoły: w takim razie może ona stać się pożytecznem i przyjemnem ćwiczeniem gimnastycznem i młodzież, z zaszanowaniem ciała i ducha, nabędzie pewnej zręczności, która choć niekoniecznie jest potrzebna, lecz przyjemna. Rozumie się, że trzeba zaprowadzić pewną reformę w sposobie nauczania tańców, i że obie płcie muszą się uczyć osobno.

Nauka jazdy konnej i fechtunku, które także korzystnie wpływają na rozwój przymiotów ciała, nie mają dla szkoły wielkiego znaczenia i w każdym razie nie będą nigdy obowiązkowe; są to zresztą ćwiczenia cielesne, właściwe późniejszemu wiekowi.

Jeżdżenie na łyżwach zależące od stosunków klimatycznych, nie może się odbywać regularnie; jest to zdrowe i korzystnie wpływające na rozwój ciała, ćwiczenie; szkoła powinna pobudzać do niego i byłoby dobrze, gdyby nauczyciel gimnastyki czuwał nad niem. Pobyt na lodzie nie powinien trwać zbyt długo, podczas silnych mrozów i ostrych wiatrów północnych nie wolno się ślizgać. Ubranie dzieci ma być nie za lekkie, mianowicie trzeba dobrych rękawiczek. Obowiązkiem policji jest czuwać nad tem, aby łyżwowanie odbywało się na takiem miejscu i w takim czasie, gdy nie ma niebezpieczeństwa utonięcia.

Jeszcze wspomnę kilku słowami o wycieczkach czyli tak zwanych majówkach. Wspólne wycieczki całej szkoły nie są pożyteczne. Nadzór 500—600 uczniów jest nawet dla wielkiej liczby nauczycieli niemożebny; nie można także żądać od nauczycieli, aby dzień, przeznaczony na odpoczynek i przyjemność, był dla nich najprzykrzejszy w skutek odpowiedzialności, jaka na nich ciąży; skutki z takich spacerów są niedobre tak dla zdrowia jakoteż i karności uczniów. Rodzice zwykle zaopatrują swoje dzieci w żywność i pieniądze, a ztąd łatwo są błędy dyetetyczne; wolność pobudza do rozmaitych przestępstw. Zwykle przy takich wycieczkach odbywają się pierwsze próby palenia tytoniu. Jeden nauczyciel nie powinien mieć pod swoim nadzorem więcej jak 20 uczniów, takie wycieczki są bardzo pożyteczne nietylko dla zdrowia, lecz i dla nauki: nauczyciel może praktycznie opisywać dzieciom przyrodę i łatwiej może czytać w głębi duszy dziecka, co jest bardzo korzystne tak dla indywidualnego traktowania, jakoteż i dla całego wychowania dziecka *).

ANGIELSKA SZTUKA
na
WYSTAWIE PARYSKIEJ.

Wśród narodów, które nadspodziewanie popisały się na tegorocznej wystawie, pierwsze miejsce zajmuje Anglja. Oddział jej w galerjach sztuki, ubrany z konfortem i elegancją, pełen był zawsze widzów. Sal kilka, których ściany szczelnie były zawieszone od góry do dołu obrazami olejnemi, po środku rzeźby, i to nie biusty lub hermesy ale posągi nagie naturalnej wielkości i wreszcie parę sal z akwarellami, a wśród tego wszystkiego tłumy widzów, zdradzających co chwila zachwyt lub co najmniej kompletne artystyczne zadowolnienie, wszak to naprawdę rzeczy niesłychane. Kto sobie przypomni jakiemi wiecznie pustkami świeciły galerje angielskie na wystawie 1867 r. i 1873 r. a nie był tego roku w Paryżu, ten czemuś podobnemu uwierzyć nie zechce. A jednak to prawda, na jotę nie przesadzona. Angielska sztuka zyskała ogólny poklask na tegorocznej wystawie, podobała się tak powszechnie, że nawet zmusiła wszystkich tych, którzy z zasady są przekonani, iż na gruncie brytańskim plastyka kwitnąć nie może, oddać sobie hołd należny.

Więc cóż? — zapyta czytelnik — ażaliż wysypała Anglja z rogu obfitości całe legiony genjuszów, lub przynajmniej zdobyła się choćby na jeden duch wielki, twórczy, potężny, starczący za legjon, taki n. p. jak naszego Matejki? Bynajmniej. Jeżeli mowa o twórczości, o potędze, o wielkości, o nieporównanej sile dramatycznej, wreszcie nawet o głębokiej charakteryzacji, to ani trochę w tem przesady nie będzie jeżeli powiemy, po zastrzeżeniu się przeciw zarzutowi niewłaściwości porównania, iż Anglja gdyby wszystkich swych malarzy stłoczyła społem w jedno indywiduum, nie miałaby przecież jeszcze ani Matejki, ani w ogóle malarza dorównywającego mu polotem.

Nie znamy praw rodzenia się genjuszów, nie wiemy nawet jakiego dla nich użyznienia wymaga grunt społeczny. Są fakta, że trzeba było wiekami cywilizacji i pracy obrabiać glebę, aby wydała te kosztowne rośliny: tak było w Grecji, tak było we Włoszech w epoce odrodzenia. Są znowu fakta, że genjusze powstawali generacją spontaniczną, bez antenatów, Szekspir, Matejko. Nie możemy przeto wcale przesądzać przyszłości i twierdzić apodyktycznie, że w Anglji plastyka kwitnąć nie może dla tego, że dotąd nie kwitnęła. Wystarcza nam to, że możemy skonstatować fakt wielce pocieszający, iż właśnie teraz sztuki plastyczne rozwijają się niepospolicie w Anglji i że jakkolwiek nie może ona jeszcze wystawić takiej armji malarzy jak Francja, z tem wszystkiem liczy ich już na setki i to jednostek, jak się wkrótce przekonamy, niepośledniej wartości. Kto wie przeto czy w rzeczach plastyki gleba angielska nie jest tej natury co włoska, i czy nie potrzebuje mozolnego opracowania, aby mogła genjusze rodzić.

Bądź co bądź jednak dotąd ich nie zrodziła. Dziwna rzecz zaiste, kraj, który wydał tylu i tak potężnych myślicieli na polu filozofji i umiejętności ścisłych, a tyle i tak twórczych umysłów na polu literackiem, tylu zresztą tak dzielnych pionerów w przemyśle, nie zdobył się dotąd ani na jednego malarza lub rzeźbiarza sięgającego wyżej po nad złotą pośredność. Rzec śmiało można, że nie ma gałęzi czy to myśli czy pracy ludzkiej, w którejby Anglicy nie oddali ludzkości znakomitych usług. Jedno tylko malarstwo i rzeźba, a także i muzyka, leżały u nich zawsze odłogiem. W tych działach artystycznej twórczości przyłożyli się oni tak mało do ogólnych zasobów Europy, że ani o włos sztuki te nie stałyby niżej, gdyby, przypuśćmy, Anglików wcale nie było. A jednak gdyby Anglicy przyłożyli do nich po swojemu rękę, to stałyby o wiele wyżej, miałyby bowiem o jeden ton więcej w ogólno europejskim akordzie, ton na wskroś odmienny, czysto indywidualny, specyficznie angielski, zgoła niepodobny do innych tonów, włoskiego, francuskiego lub niemieckiego.

Wytłómaczyć się z tego zdania musimy. Że każdy naród, pojmowany jako etnograficzna całość, ma pewne lubo bardzo podobne, przecież zawsze nieco odrębne pojęcie piękne; że dalej kształcenie tego indywidualizmu w pięknie wychodzi na korzyść sztuki, bo ułatwia twórczość i pozbawia ją pęt niewolniczego naśladownictwa; i że wreszcie im więcej w ogólnej ludzkiej skarbnicy piękna jednoczy się tych odrębnych narodowych indywidualizmów, jakby oddzielnych korzeni, tem potężniej rozrasta się drzewo sztuki; są to trzy zdania, które dowodzenia nie potrzebują, i które przeto służyć nam mogą za podstawę do dalszego rozumowania. Owoż w Anglji sztuka plastyczna — a mamy na myśli wyłącznie malarstwo — nigdy nie kwitnęła wyżej po nad złotą pośredniość; wszelako w zakresie tej pośredniości złożyła dowody niepospolitego samodzielnego ducha, indywidualizmu o nieskończenie wybitnych, charakterystycznych znamionach. I w tem właśnie tkwi największa jej zasługa. Gdyby w Anglji sztuka do całej swej pośredniości dołączyła jeszcze brak oryginalizmu, to w obec tego, że naśladownictwo łamie i zabija twórczość, stałaby ona jeszcze znacznie niżej i już wtedy nie zasługiwałaby wcale nawet na wzmiankę. Tak zaś, mimo że nie sięgała nigdy w najwyższe sfery ideału, zajmuje z tem wszystkiem dość poczesne miejsce na Parnasie i dość spory rozdział w dziejach malarstwa, jakkolwiek nie tak wielki, aby mogła wpłynąć na rozwój sztuki w ogóle.

Rozdział ten w skróceniu powtórzyć musimy, żeby naszkicować tło, na którem rozwija się dzisiejsza szkoła angielska.

Za protoplastę jej śmiało uważać można Hogarth'a (1697—1764). Do niego Anglicy bawili się w kopje i naśladownictwa ślepe, w bezmyślne a niewolnicze wtórowanie bądź włoskim, bądź bardziej jeszcze flamandzkim szkołom. On pierwszy otrząsnął się z pęt niewoli, postanowił być Anglikiem w sztuce i sam sobie drogę torować. I byłby może zaszedł daleko, gdyby jego chęciom odpowiadały środki. Słabe jednak zasoby techniczne podcięły mu skrzydła i niedozwoliły sięgnąć w wyższe dziedziny sztuki, do malarstwa historycznego i religijnego, do którego on tak namiętnie pałał, a w którem tak opaczne stawiał kroki. Za to pomimo całej swej słabej techniki, nieprzechodzący po za szkicowość, został on mistrzem w rodzajowem malarstwie. Jego pełne talentu, głębokiej charakterystyki, dowcipu i właściwego Anglikom *humoru* rodzajowe szkice są dotąd małuczkiemi arcydziełami, cenionemi na wagę złota, a cenniejszemi jeszcze z tego względu, że założyły podwalinę pod gmach specyficznego *genre'u* angielskiego. Wszelako szkoły on nie stworzył w tem znaczeniu w jakiem to my w Europie „szkołę“ rozumiemy. Uczniów nie zostawił, bo jest to charakterystyką Anglji, że na jej gruncie żaden mistrz nie wychowuje sobie uczniów, nie pozostawia po sobie cieniu w grupie naśladowców. Przeto i Hogarth uczniów nie miał, ale miał sprzymierzeńców. Gainsborough, Reynolds, Turner poszli tą samą co Hogarth drogą, ożywieni tą samą co i on dążnością a bogatsi od niego w zasoby techniczne. Gainsbourough (1727—1788) stworzył angielski pejzaż, Reynolds (1723—1792)

*) Zobacz: Baginsky, Handbuch der Schulhygiene.

angielską portretystykę, a Turner (1775—1851) angielski historyczny pejzaż, wszyscy zaś trzej kultywowali równocześnie angielski genre i tajemnicę jego przekazali malarzom XIX wieku Lawrence'owi (1769—1830) a nadewszystko Wilkie'mu (1785—1841), który swym humorem, swem ciepłem, bogactwem swego uczucia, a nadto kolorytem żywym, pełnym wdzięku i harmonji, stanął może najwyżej z malarzy angielskich, lubo — jak oni zresztą wszyscy — był bardzo słabym w rysunku.

Pod auspicjami wymienionych mężów rozwijała się tedy sztuka angielska stopniowo i powolnie, głównie na polu rodzajowem. Ale w tem, mniej więcej w połowie bieżącego stulecia, uderzył w nią wróg wszelkiej twórczości, wszelkiej samodzielnej myśli, wróg, któremu na imię *doktryna*. W łamach *Times*'a poczęły w r. 1851 od czasu od czasu pojawiać się listy o sztuce, pisane z niepospolitym talentem, z ogromną werwą, z przekonywającą siłą logiki, a podpisywane imieniem znanego w Anglji krytyka Ruskina. Ruskin przejął się w części teorją Overbeecka, w części sam na mocy samodzielnych studjów, doszedł do twierdzenia, że właściwe piękno istniało w sztuce w czasach przed-Rafaelowskich, wszystko zaś co stworzono od czasów Rafaela, nie wyłączających i mistrza z Urbino i jego współczesnych, nosiło już na sobie znamię upadku. Z twierdzenia tego wysnuwał się prosty wniosek, że sztuka powinna sobie za wzór postawić utwory przed-Rafaelowskie, niemi się przejąć, w nich szukać źródła prawdziwego piękna, a jeżeli nie będzie w mocy przyswoić sobie tych myśli i idei, które tkwiły w umyśle van-Eycków, lub Memlingów, to powinna przynajmniej ich naśladować, bo zawsze tym sposobem bliżej będzie prawdziwego piękna, niż kształcąc się na wzorach Rafaelowskich. Doktrynie tej Ruskina nadano w skutek tego nazwę *prerafaelizmu*.

Prerafaelizm, dzięki niepospolitej dialektyce swego twórcy, zyskał ogromne powodzenie wśród angielskich malarzy. Najznakomitsi przeszli wkrótce do obozu Ruskina i poczęli tworzyć dzieła monotonne, bez życia, bo naśladownicze, bez werwy i polotu, bo skrępowane doktrynerskiemi więzami. Oddać jednakże należy sprawiedliwość Anglikom, że zdrowy ich umysł, a całą ich ewolucją dziejową wyrobiona samodzielność charakteru, nie dały się długo tłumić tą prerafaelistyczną chorobą. Od kilku lat, po zgonie kilku najzapaleńszych prerafaelistów, szeregi zwolenników Ruskina zaczęły się stopniowo przerzedzać, a kiedy Millais ich opuścił — jeden z najznakomitszych współczesnych malarzy angielskich — prerafaelizm schylił się tak do upadku, że dzisiaj na całym obszarze trójjedynego królestwa, zaledwie może kilku liczy zwolenników. Wszelako ta chwilowa prerafaelistyczna choroba tłomaczy nam dla czego na kilku ostatnich wystawach szkoła angielska tak podrzędną odgrywała rolę, a upadek jej wyjaśnia, dla czego szkoła ta na paryskiej wystawie tegorocznej potrafiła tak okazale wystąpić.

Wyleczona z prerafaelizmu, szkoła angielska wróciła znowu na grunt narodowy, a chociaż nie może się dzisiaj popisać takimi mistrzami jak Hogarth, Gainsborough, Turner lub Lawrence, ma za to tylu malarzy, ilu jeszcze nigdy jednocześnie Anglja nie posiadała. A rozważana ze stanowiska narodowego, liczebność ta wiele znaczy, przyczynia się bowiem niewątpliwie do użyźnienia artystycznej gleby.

Żeby określić na czem polega charakterystyka szkoły angielskiej, trzeba byłoby chyba z etnografji wypisać rozdział traktujący o Anglji i Anglikach. Nie ma bowiem w całej sztuce ani jednej szkoły, któraby była tak silnie napiętnowana narodowym charakterem jak angielska. Typy angielskie, ich strój, ich pozy, ich sposób zachowania się na obrazie także angielski, treść obrazu poczerpnięta prawie zawsze z życia angielskiego, sprzęty i przyroda, nawet słońce jakieś inne, angielskie, nawet jakieś inne angielskie farby. Słowem od początku do końca, od najmniejszej drobnostki do zwyczaju pokrywania szkłem olejnych obrazów; wszystko jest na wskroś angielskie. Nawet wady są wspólne, jak np. właściwy tylko Anglikom sposób malowania olejnych obrazów tak, że są zawsze podobne do akwarelli, podczas gdy na odwrót, akwarelle są zawsze podobne do olejnych obrazów; albo znowu zamiłowanie, pospolite u początkujących lub dyletantów, do pokonywania bądź w perspektywie, bądź w kolorystyce niepokonanych trudności. Również i zalety są wspólne, jak np. ta rzecby można dzisiaj już wrodzona, a w spadku pozostawiona przez dawniejszych Anglji mistrzów, przez Gainsborough i Lawrence'a umiejętność odtwarzania przecudnie pięknego typu angielskiej niewiasty, a przedewszystkiem angielskiej dziewicy. To też niezawodnie w dziale angielskim było więcej pięknych twarzy kobiecych, aniżeli na całej wystawie, nie wyjmując nawet i żywych okazów.

Tyle w ogóle o angielskim dziale. Przejdźmy teraz do szczegółowego opisu, trzymając się tego porządku, któryśmy sobie przepisali, mówiąc o francuskiej i niemieckiej szkole.

Wypada nam tedy zacząć od religijnego malarstwa, ale niestety nie istnieje ono wcale w Anglji; Anglicy nie uprawiają nawet *genre*'u religijnego, tak będącego dzisiaj w modzie na stałym lądzie. W całym ich dziale nie było ani jednego płótna, któreby, chociaż z tytułu, dało się zaliczyć do jakiejkolwiekbądź kategorji religijnych utworów. A przecież jest to naród najsumienniej w Europie świątkujący niedzielę.

Nie było także ani jednego właściwego historycznego płótna, zaledwie zaś kilka rodzajowo-historycznych i rodzajowo-archeologicznych. Tę ostatnią gałęź malarstwa, zupełnie nową i możebną chyba na tak ekscentrycznym gruncie jak angielski, uprawia Hollenderczyk, przesiedlony do Anglji, p. Alma Tadema, malarz głośnego imienia. Tadema postawił sobie za zadanie odtworzyć za pomocą sztuki świat starożytny, a więc naprzód świat Faraonów, potem Gallów, wreszcie dzisiaj Rzymian. Zanim przystępuje do malowania, zbiera naprzód wykopaliska, potłuczone garnki na uroczyskach, pobite łzawnice, kamienne miecze, bronzowe ozdoby i naszyjniki, ubiera w nie swe postaci, którym — rzecz szczególna— daje typowe angielskie twarze i grupuje z nich obraz, do łez wzruszający każdego archeologa. Nie należy jednak przypuszczać, żeby płótna Tademy miały jeno wartość dobrych illustracyj, wyciętych z dzieła archeologicznego. Bynajmniej, powiedzielibyśmy raczej, że są to utwory niepośledniej wartości, *pomimo* ich archeologicznego charakteru, albowiem p. Tadema umie tyle w nie wlać życia, tyle dać im prawdy, starożytne postaci takim owiać naturalizmem, tak odjąć im wszelką sztywność i manierę, że patrząc na nie mimowolnie się wierzy, iż tak być musiało, iż one musiały się tak ruszać, tak siadać, tak chodzić ect. Pomimo jednak głośnego imienia i ustalonej reputacji, jaką ma Tadema, nie możemy przecież zagłuszyć budzącego się w nas na każdej z kolei wystawie przekonania, że w tej aureoli, która go otacza, więcej jest promieni archeologicznych niż malarskich, czyli, że Tadema-archeolog przyczynił się wiele do sławy Tademy-malarza. Najlepszym tego dowodem jest to, że na zaletach jego obrazów bez archeologicznego przygotowania poznać się nie można. Bądź co bądź, p. Tadema jest najlepszym wśród malarzy archeologiem, a niezawodnie także najlepszym wśród archeologów malarzem, a także i poetą, bo że umie sporą dozę uczucia wlać w swoje utwory, to mu przyznają nawet nie archeologowie.

Jan Gilbert i Elmore są najznakomitsi w Anglji malarze *genre*'u historycznego, ale z tego powodu, z jakiego w wielu miasteczkach lichy zajazd bywa pierwszym hotelem dla tego, że jest jedynym. Wszakże przymiotnika tego *lichy* stosować nie należy do dwóch wymienionych malarzy. W Anglji używają oni, zwłaszcza pierwszy, wielkiego imienia; jednakże to co wystawili oni w Paryżu, nie usprawiedliwia ich renomy, lubo niemniej nie dozwala zaliczyć ich do pośledniego rzędu. Nam osobiście o wiele więcej się podobał Pettie, który nie odważa się wejść na pole historyczne i zadawalnia się skromnym tytułem *kostiumowego* malarza. Jego rycerze w stal okuci są jakby żywi. Dwa jego obrazy *Warunki oblężonym* i *Wyzwanie*, należały do najpiękniejszych ozdób galerji angielskiej. Pettie pracami swojemi składa nowy dowód na poparcie twierdzenia, z którego zresztą Terburg zdarł już wszelką wątpliwość, że nawet tak skromna gałęź sztuki jak kostiumowe malarstwo, owiano prawdą i poezją, wywalczyć sobie może w przybytku muz prawo obywatelstwa.

Najznakomitsi są Anglicy w rodzajowem malarstwie i to tak znakomici, że śmiało z Niemcami mierzyć się mogą. Jednakże to wyrażenie wymaga pewnej restrykcji a raczej komentarza. Przez nie chcemy bowiem tylko to powiedzieć, że *genre* angielski jest wyższy od francuskiego i w ogóle od wszelkich innych *genre*'ów; nie idzie jednak za tem, aby niemieckiemu dorównywał. Knausa, Vautiera, Defreggera Anglicy nie mają, a ich Fildes, Frith, Calderon, Herkomer, Leslie, Leighton, Sant, Millais, Wallis etc., lubo posiadają wiele cennych przymiotów, wznieść się jednak nie mogą do tego poziomu, na którym stoją owi trzej koryfeusze rodzajowego malarstwa Niemców.

Przedewszystkiem *genre* angielski nie ma tego serdecznego ciepła co niemiecki i tej prostoty. Dopatrzyć w nim najczęściej można pewnej afektacji, czasami znów przebija z niego zanadto wyraźnie tendencja artysty i to albo psychologiczna, albo też czysto malarska, zasadzająca się po prostu na pokonaniu jakiejś kolorystycznej trudności; nieraz wreszcie rodzajowy obrazek bywa źle zamaskowanem studjum z natury. Oprócz tego nieodłączną cechą *genru* angielskiego jest illustracyjność, to jest, że obraz nie przedstawia sam w sobie całości zamkniętej, tłomaczącej się samo przez się, ale wydaje się jak gdyby był illustracją dołączoną do jakiego dzieła. Dla tego też w żadnym dziale tytuły obrazów nie są tak potrzebne, nieraz wprost niezbędne, jak w angielskim i w żadnym też nie było tylu obrazów z dewizą lub komentarzem wypisanym na ramach. Ujemną tę stronę angielskich malarzy rodzajowych tłomaczą niektórzy tem, że wszyscy oni są współpracownikami pism ilustrowanych. Pisma te stoją świetnie i opłacają ich sowicie; ale wskutek tego w malarzach wyrabia się pewna maniera,

która ich nie opuszcza nawet wtedy, gdy mają za miar uplastycznić myśl swoją a nie illustrować czyjąś. A przecież między illustrowaniem a uplastycznianiem jest taka różnica jaka... między fastrygą a stałym szwem.

Z wymienionych powyżej rodzajowych malarzy angielskich największy poklask otrzymał Herkomer, za swoją *La dernière assemblée*, za którą *Jury* przysądził mu nawet medal złoty. W kaplicy szpitala wojskowego w Chelsea zeszła się na nabożeństwo garstka inwalidów, sędziwych starców, pamiętających jeszcze bitwę pod Waterloo. Siedzą oni szeregami w ławkach, każdy z nich modli się bądź z książki bądź na pamięć. Wtem jeden z nich wśród modlitwy zasypia — zasypia cicho, spokojnie.... snem wiecznym. Staruszek siedzący obok niego, spostrzega śmierć towarzysza i z rozrzewnieniem a zarazem przestrachem zwraca się w profilu ku niemu. Oto treść obrazu, dość prosta i prosto, bez afektacji, wykonana. Fizjonomje starców, punkt ciężkości obrazu, traktowane są śmiało, z wyborną charakteryzacją. Technika zaś świetna, bo nie mówiąc już o poprawnym rysunku, obraz ten przedstawia nadto pewien *tour de force* kolorystyczny. Anglicy w takich *tours*'ach lubują się i dla tego np. chętnie posługują się barwą czerwoną tak trudną do manipulowania. Owoż trudność tę pokonał Herkomer świetnie w swoim obrazie i chociaż jego inwalidzi mają niektóre szaty czerwone — strój właściwy armji angielskiej — mimo to jednak koloryt obrazu nie tylko nie jest krzyczący, ale nawet bardzo przyjemne sprawia wrażenie.

Nadużylibyśmy niewątpliwie względów czytelnika gdybyśmy zechcieli opisać treść chociażby najlepszych rodzajowych obrazów angielskich. Zaznaczymy tedy ogólnikowo, że Calderon, Armstrong, Sant i Albert Moore odziedziczyli w całej pełni po Gainsborough i Lawrence'ie umiejętność odtwarzania przecudnie pięknego typu twarzy angielskiej dziewicy; że Fildes i Frith opracowują z powodzeniem temata panoramowe, jak sceny na dworcach kolei żelaznych lub w domach gier publicznych; że Millais, Leslie i Leighton chętnie poświęcają swój pędzel scenom z życia domowego, tworząc obrazy pełne angielskiego humoru.

Pejzaż angielski stoi również wysoko jak i *genre*. Odznacza się on szerokim polotem, tak dalece, że nieraz nawet przekracza, gwoli przesady, w dekoracyjność; bierze zawsze temata wielkie, las, góry, skały; nie ucieka się do wybiegów dla ułatwienia sobie zagadnień perspektywicznych, przeciwnie z śmiałością dylletanta porywa się na nie, śmiało im stawi czoło, nieraz wprawdzie w walce upada, ale i częstokroć zwycięża. Dominującą dążnością obecnego pejzaża angielskiego jest wprowadzenie człowieka, ale nie na to żeby był stafażem, lecz dla uzupełnienia przyrody i dodania jej życia. Nie jest to przeto pejzaż z człowiekiem, ale człowiek w pejzażu, słowem zastosowanie do malarstwa muzycznej teorji Wagnera, który, jak wiadomo, wtłoczył śpiewaków w orkiestrę i głosowi ludzkiemu odjąwszy dominujące w operze stanowisko, zredukował go do roli muzycznego instrumentu. Że na tej innowacji pejzaż angielski wiele zyskuje, to samo się przez się rozumie. I w ogóle rozwija się on bardzo. A obiecuje jeszcze więcej na przyszłość, zwłaszcza teraz, kiedy w Manczesterze zawiązało się towarzystwo malarskie, które postawiło sobie za zadanie wskrzesić i wydobyć z zapomnienia teorje Constable'a, znakomitego pejzażysty, uważanego przez wielu za twórcę nowoczesnego pejzaża całej Europy.

Landseer (zm. w 1873), Davis i Cooper to trójca może nawet najznakomitszych w Europie malarzy krów, wołów, cieląt, psów i baranów. Z współczesnych jedynie tylko Belg Verboeckhoven z ulubionemi a tak znakomitemi swemi baranami, do równorzędnego stanowiska z tą trójcą rościć może dla siebie pretensję.

Malarzy *martwej* przyrody tak samo w Anglji nie ma, jak nie ma religijnych malarzy. Tych dwóch krańcowych gałęzi sztuki malarskiej Anglicy nie uprawiają. Dla czego — nie wiem. Widocznie nie nęcą ich one, widocznie obie je uważają oni za martwe.

Za to uprawiają z zamiłowaniem akwarelle i doszli w tej mierze do takiej perfekcji, jak żaden naród. Oni jedni potrafili akwarellom swoim nadać wartość olejnych obrazów, a tak w akwarellistyce lubują się, że nieraz nie cofają się przed tysiącznemi trudnościami i temata, które bądź ze względu na rozmiary, bądź ze względu na warunki i akcesorja, wprost domagają się olejnego traktowania, oni oddają wodnemi farbami. To też uzasadniona jest obawa, że Anglicy dopuszczą się w końcu grzechu śmiertelnego i popróbują akwarellistycznie przedstawić człowieka w naturalnej wielkości. Takiego grzechu nie odkupi nawet ten legjon znakomitych akwarellistów jaki Anglja posiada, a z którego pozwolimy sobie wymienić Dobsona, Bradleya, Haaga, Lewisa, Johnsona, Walkera, Whaitea, Taylera i Robertsa, jako tych mianowicie, których utwory szczególnie nam się podobały. Nasz Stanisław Chlebowski, Wiedeńczyk Passini i we Francji Vibert, Leloir i Lambert, oto akwareliści, których Europa może w najlepszym razie Anglji przeciwstawić. Że jednak szala przechyli się niepospolicie na stronę angielską, tego zdaje się dodawać nie potrzeba.

KRONIKA NAUKOWA.

Rok naukowy 1878.

Przez rok ubiegły, kronika naukowa przynosiła czytelnikom wiadomość o postępach nauk przyrodniczych, o nowych ważniejszych odkryciach i wynalazkach, słowem o tem, co nowego w dziedzinie nauk stosowanych zrobiono.

Gdy rok ten minął, pozwolimy sobie rzucić okiem na całość pracy w tym kierunku i zobaczymy, jakie miejsce zajmie on w historji nauki.

Nie interesuje to nas zupełnie, że w tym roku jedna wojna w Europie została skończona, a druga w Azji zaczętą, że urodzaj na naszym lądzie był dobry, a w Indjach, Chinach, Afryce północnej, tysiące z głodu ginęły. Są to wypadki ważne chwilowo dla ludzkości, ale za lat sto o nich mało pamiętać będą i nikt nie będzie obchodził jubileuszu. Natomiast może jakiś nieznany nikomu i w nędzy żyjący wynalazca, nosi w umyśle swym zarodek rzeczy, który cały świat zmieni w jego ustroju społecznym, naukowym, gdy się odpowiednio rozwinie, a może natomiast dziś tak szumnie rozgłaszane odkrycia i wynalazki uznane zostaną jako w rzeczy samej mało znaczące.

Rok poprzedzający ten, który ubiegł niedawno, zostanie pamiętnym. Była w nim nieprzebrana obfitość wynalazków i odkryć odznaczających się oryginalnością lub też doniosłością praktyczną. Dziwiono się zewsząd, że tak raptownie, po dość długiej przerwie, tyle oryginalnych pomysłów, w kilku miesiącach powstało.

W tamtym roku był wynaleziony telefon, fonograf, wtedy zdołano dowieść, że nie ma gazów takich, które pod ciśnieniem nie dałyby się w ciecz lub ciało stałe zamienić, w tamtym roku ujrzano po raz pierwszy powietrze w stanie płynnym, wtedy znaleziono sposób podziału światła elektrycznego i zastosowano go praktycznie, w tym roku Stanley przeszedł przez ląd Afryki, i wogóle zrobiono wiele zadziwiających odkryć.

Rok 1878 nie był tak obfity w rzeczy nowe, natomiast był on rokiem niezmiernie ożywionej działalności naukowej. Odkrycia poprzedniego roku pobudziły do pracy wszystkich ludzi nauki, i nic dziwnego, bo zostały otworzone nowe drogi, prowadzące do krain wiedzy nieznanych i nastręczało się pole do poszukiwań, przedstawiających wiele interesu. To też ten rok cały był obfitym w rozwinięcie i udoskonalenie odkryć i wynalazków roku poprzedniego.

W roku tym nie zrobiono żadnego ważniejszego, geograficznego odkrycia, któreby co do doniosłości mogło się równać z rezaltatami wyprawy Stanleya.

W fizyce jeden chyba mikrofon i wszystkie z nim organicznie związane instrumenta, mogłyby zająć pierwszorzędne stanowisko, chociaż i ten wynalazek, biorąc rzeczy ściśle, trzeba byłoby zaliczyć do roku poprzedzającego, jak tego doniósł spór o pierwszeństwo między Hughesem a Edisonem.

Najwięcej zajmowano się ogólnie oświetleniem elektrycznem i sprawa ta aż do tej chwili jest na porządku dziennym i nic dziwnego, bo wynalazca nietylkoby się przyczynił do postępu wiedzy, lecz osiągnąłby także znakomite materjalne korzyści. Jabłoczków, który ważny krok zrobił w tej mierze, chociaż zadania całkowicie nie rozwiązał, zdołał jednak w ciągu lat paru zdobyć znakomity majątek.

Sprawa oświetlenia elektrycznego rozbijała się dawniej o tak zwany *podział* tego światła. Dawniejszemi sposobami z jednego źródła elektryczności, w jednym obwodzie, zapalić można było tylko jedno światło, niezmiernie silne i skoncentrowane, ale natomiast nieprzyjemne dla oka i niewygodne do oświetlenia. Chodziło o to, żeby całą siłę światła rozdzielić na kilka płomieni elektrycznych o mniejszem natężeniu i to zadanie zostało wreszcie na kilka rozmaitych sposobów rozwiązane. Jednak okazała się przytem rzecz niezmiernie wstrzymująca dalsze zastosowanie praktyczne oświetlenia elektrycznego. Oto razem z podziałem urosły nieproporcjonalnie koszta oświetlenia, tak że gdy światło elektryczne skoncentrowane w jednym punkcie było bardzo ekonomicznem, to rozdzielone stawało się droższem od wszystkich znanych. Jeden tylko Jabłoczków osiągnął nieco lepsze rezultaty, chociaż swój podział doprowadził najwyżej do lamp dwudziestu.

Przez cały czas nadchodziły z różnych stron świata dziennikarskie wiadomości o tem, jakoby już wreszcie wielkie to zadanie podziału ekonomicznego zostało dokonanem, jednakowoż w rezultacie okazało się, iż wszystkie te wiadomości były przesadnemi. Słyszeliśmy o lampach Regniera, które jednak okazały się praktycznemi tylko w gabinetach fizycznych, słyszeliśmy o lampach Wedermana, które się mało różnią od poprzednich, o lampach wiedeńskich Marcusa, o których nie ogłaszają wcale szczegółów, i które z tego co słychać mają pozór humbugu; najwięcej jednak narobiły hałasu lampy Edisona. Imię tego genialnego człowieka jest tak poważanem na

świecie, i tak w moc jego pokładają ludzie wiarę, że gdy o odkryciu przezeń lampy nadeszła wiadomość do Europy, to akcje towarzystw gazowych spadły o znaczne sumy. Jednakże, stało się, że z wielkiej chmury był mały deszcz i owe sławne lampy elektryczne Edisona nie są w obecnej chwili niczem więcej jak naukową zabawką. Jest to drucik platynowy, który prądem rozpala się do białości i rozlewa w około siebie blade światło.

W ogóle więc biorąc, zadanie powyższe nie zostało rozwiązanem i zdaje się, że zaszczyt ten przypadnie rokowi bieżącemu.

Najbardziej może doniosłem, i najbardziej ważnem co do swego kierunku, jest odkrycie Lockyera, o którem wspominaliśmy w *Tygodniu*, które jednak niestety, nie zostało jeszcze w sposób zupełnie ścisły stwierdzonem. Badania tego angielskiego uczonego są niezmiernie ciekawe, niezmiernie pouczające, czynią one bardzo prawdopodobnem owe dawno filozoficznie umotywowane zdanie, że świat cały składa się z jednej materji i że tak zwane dotychczas pierwiastki, są tylko rozmaitemi stanami zgęszczenia jednej i tej samej materji zasadniczej. Jednak odkrycie to tylko za pomocą spektroskopu zrobione. Pewność zaś będziemy mieli tylko wtedy, gdy rzeczywiście potrafimy w laboratorjum zamienić jeden pierwiastek na drugi i dajmy na to, z żelaza, wodór lub też jakieś inne ciało otrzymać.

W każdym jednak razie jest ono ważnym krokiem naprzód i prawdopodobnie da początek całemu szeregowi badań zmierzających do wykazania, iż tak samo jak we wszechświecie jest tylko jedna siła przejawiająca się w różnych formach, tak też i jedna jest tylko materja, której różne formy, dotychczas zwykłemi środkami chemicznemi niepodzielne, w kształcie pierwiastków widzimy.

W dziedzinie astronomji rok ubiegły przyniósł kilka ważnych odkryć, które jednak, niestety, nie noszą cechy absolutnej wiarogodności i których autentyczność jest z wielu stron zaatakowaną.

Mamy tu na myśli przedewszystkiem odkrytą przez Watsona w Ameryce nową planetę pomiędzy słońcem a Merkurym.

Sprawa tej planety, której istnienie od dawna podejrzywano, jest jedną z najbardziej zajmujących w historji nowoczesnej astronomji. Kilkakrotnie pod koniec ostatniego wieku i w bieżącym astronomowie z fachu i amatorowie widzieli przesuwające się przez tarczę słoneczną plamy okrągłe, robiące wrażenie takie, jakby rzeczywiście jakaś planeta przed tarczą przechodziła. Z tych wszystkich jednak obserwacyj, najbardziej przekonywającą była ta, którą zrobił lekarz Lescarbault, amator astronomji we Francji, w jednem z miast prowincjonalnych. Obserwacja ta, była ściśle zbadaną przez słynnego Leverriera, który ją uznał za prawdziwą. Planecie tej dano nazwę Vulkana.

Że pomiędzy słońcem a Merkurym, najbliższą od niego planetą, musi istnieć jeszcze jedno lub kilka ciał, tego dowiódł Leverrier, naprzód na podstawie obliczenia teoretycznego. Pracując nad wiekopomnem swem dziełem o ruchach ciał niebieskich wchodzących w skład naszego układu słonecznego, doszedł w toku pracy do dokładnego zbadania biegu Merkurego. Pokazało się, że w biegu tym są pewne nieregularności, których inaczej wytłómaczyć nie można, jak tylko przypuszczeniem istnienia jednej lub kilku planet jeszcze bliżej od słońca niż Merkury.

W ostatnich chwilach swego, dla nauki tak pożytecznego życia, odkrywca Neptuna ogłosił, iż rachunek wykazał mu jak najdokładniej, że niektóre z obserwacji zapisanych poprzednio, są zupełnie autentycznemi, że w różnych porach wieku widziane czarne plamy przesuwające się przez tarczę słoneczną, pochodziły od jednego i tegoż samego ciała.

Zestawiwszy wszystkie fakty, Leverrier oznaczył nawet dzień, kiedy to ciało miało powrotnie przechodzić przez tarczę słoneczną. Lecz oczekiwania nie zostały spełnionemi, i astronomowie całego świata patrzący w dzień omówiony na słońce, nic na jego tarczy osobliwego nie zobaczyli.

Niedługo potem Leverrier umarł, nie doczekawszy potwierdzenia swych przypuszczeń.

Od tego czasu przez kilkanaście miesięcy nie było nic słychać o tej, tak dawniej animującej sprawie, aż dopiero zeszłoroczne zaćmienie słońca sprowadziło ją znowu na porządek dzienny i jak się zdaje rozstrzygnęło. Watson, rysując podczas zaćmienia mapę gwiazd otaczających słońce, zauważył jedną gwiazdę, której na żadnej mapie nie było. Otóż według wielkiego prawdopodobieństwa, ta nowa gwiazda będzie szukaną i dawno oczekiwaną planetą najbliższą od słońca. Jednak jak już to powiedzieliśmy wyżej, pewności absolutnej co do istnienia Wulkanu jeszcze nie posiadamy.

Br. Abakanowicz.

Z PISM NIEDRUKOWANYCH
Z. KRASIŃSKIEGO

w dzień imienin Jego żony 19. Listopada 1856 r.

Choć lód serc ludzkich, świat pod mrozem trzyma,
I wszędzie, w świecie, bezkwietniana zima,
W duszy mej kwiaty wciąż ku Tobie rosną —
Wśród zim boleści — boś Ty moją wiosną!
Bo życia mego Tyś ostatniem słońcem —
Wszystko mnie zwiodło, przed dni moich końcem,
Wierzyłem w ludzi — a byli bez ducha,
Wierzyłem w ludzkość — patrzę na zgniliznę,
Wierzyłem w przyszłość — a dotąd łańcucha
Sploty nie spadły — co wiążą ojczyznę! —
Ziemia ta cała, tak potwornie podła,
Lecz Ty może jedna, na świecie nie zwiodła;
Kształt Twój, nie kłamie, patrzącym do koła,
Gdy ócz Twych, światłem, blaskiem Twego czoła
Im nadziemskiego, zwiastuje anioła!
Wszystko, com widział, był to sen, wiew, para,
Tyś rzeczywista, Tyś jedna nie mara,
A jednak w Tobie ideału piękno!
Niechże kolana me przed Tobą klękną,
Niech Ci me ręce podadzą te kwiaty,
I niech me usta zbolałe wyjękną
Szukając kornie brzegów Twojej szaty:
Tyś piękną!

Z. Krasiński.

DROGI ŻYCIA
POWIEŚĆ SZWEDZKA
przez
CARLINA.

I.
Co sobie ciotki opowiadały.

— Biedne dziecko! została sierotą, i poszła w świat nowej poszukać sobie rodziny...

— Kochana Doroto, mówiąc o niej nie nazywaj „biedną”, bo jeśli nie mając lat siedmnastu potrafiła tak mężnie znosić nędzę i niedostatek, potrafiła odszukać siłę do zwalczenia tylu przeciwności, tej biedną nazwać nie można.

— Co się tyczy przyszłości, masz rację, droga Ebbo; czyż nie można obawiać się o jej przyszłość? Zauważ tylko, że jest ładną i młodą, że nie zna jeszcze pokus światowych, z któremi często walczyć potrzeba...

— Z jakiemi pokusami? Myślisz pewnie o jej konkurentach? No, o to możesz być zupełnie spokojna, — mówi czerwieniąc się ciotka Dorota. Jestem pewna, że najbardziej doświadczona panna, nie byłaby od niej taktowniejszą. A przytem o ile słyszałam, stara hrabina T..., u której będzie lektorką, nie ma synów, ani nawet synowców, więc czegoż tu się obawiać?

— A gdyby jej też, kochana Doroto, ofiarowano miłość, której podzielać nie może?

— Zostanie jej obowiązek, to wielkie słowo. Podobno, że ty sama wiesz najlepiej jaką rolę odgrywa ten obowiązek, gdy serce z sumieniem nie są w harmonii?

Teraz zaczerwieniła się i ciotka Ebba.

W wiośnie swojego życia obie siostry kochały jednego i tego samego mężczyznę, lecz każda przez miłość dla drugiej, postanowiła tajemnie zrzec się tego szczęścia dla siostry. Tymczasem bohater ich, wcale nie myślał wystawiać na próbę takiego poświęcenia, co bardziej podnosiło uwielbienie dla jego osoby. Biedne dziewczyny, nie domyślały się bynajmniej, że on lekkomyślnie żartował tylko z ich urojeń. Dopiero w kilka lat później, dowiedziawszy się jakie lekkomyślność ta pociągnęła za sobą nieszczęśliwe skutki, żałował takiego postępku, i chętnie pewno zamieniłby swoją późniejszą żonę, z którą nie doznał szczęścia, na jedną z tych poczciwych dziewcząt. One jednak, nie domyślając się wcale tego, co w jego sercu się dzieje, długo jescze uważały go za bohatera romansu swojej młodości.

I pytam się, czy można je nazwać z tego powdu biednemi?

Nie, miłość i urojone poświęcenie, nadawszy bardziej szlachetny kierunek całemu ich życiu, niezawodnie lżejszym uczyniły ten ciężar, który każdy dźwigać musi od kolebki aż do grobu. Poczciwe staruszki mieszkały zawsze w tem samem miasteczku, a nawet, w tym samym domku, w którym się jeszcze urodziły, lubiane od wszystkich gdzie ich nazywano ciociami całego miasteczka, choć naprawdę prócz owej młodej dziewczyny, o której przed chwilą prowadziły rozmowę, nie miały tu nikogo z bliższej familii. Po krótkiem milczeniu znowu rozpoczęła się gawędka o swojej siostrzenicy.

— Czy przypominasz sobie, kochana siostro — mówiła dalej ciotka Dorota, chcąc przerwać wątek smutnych dla siebie wspomnień — jak to dziecko małe jeszcze, w ubogim rodzicielskim domku, przynosiło zaszczyt prawdziwy swemu imieniowi: „Marta-Marja.“ Najwierniejsza opiekunka schorowanej matki, czyż nie była ową Martą, starającą się o zaspokojenie najmniejszych potrzeb; — gdy następnie ojciec całe dwa lata nie opuszczał łóżka, ona jak Marja pocieszała go rozmawiając z nim, a gdy rozmowa nie mogła rozweselić, brała książkę czytając wyjątki z pisma świętego, dodawała mu odwagi w znoszeniu cierpliwie i z poddaniem się wszystkich dolegliwości.

— Tak, tak, nasza mała Marta-Marja, od dziecka była prawdziwym skarbem dla rodziców. Już za młodu przyzwyczaiła się myśleć i działać samodzielnie, i teraz nawet gdy odjeżdżała, była

tak spokojna i pewna siebie, że nie wątpię o jej przyszłych losach.

II.

Marta-Marja Palm.

Czy naprawdę ta młoda dziewczyna była tak spokojna, jak się poczciwym staruszkom zdawało, gdy siedząc w kącie wagonu myślała o pierwszych krokach, jakie ma zrobić między obcymi ludźmi:

Tak, była zupełnie spokojną; ona już oddawna przygotowała się do tego losu, damy do towarzystwa lub lektorki w jakim porządnym domu; oddawna też rodzice przeznaczając jej ten zawód, starali się dać odpowiedne wykształcenie. Lecz o ile wychowanie Marji stosunkowo do majątku rodziców było świetne, co się tyczy jej zawodu, było za małe, aby pozwalało marzyć o jakiejś karjerze, dla tego nie namyślając się długo, przyjęła ofiarowane przez życzliwych jej miejsce lektorki, w bogatym domu pani T...

Lecz z drugiej strony obok tego na pozór niewzruszonego spokoju i obojętności, opanowało ją mimowolnie jakieś uczucie trwogi, na myśl o nowym zawodzie tem bardziej, że hrabina T. słynęła ze złego obchodzenia się z lektorkami, gdzie żadna dłużej jak miesiąc wybyć tam nie mogła, — a i teraz nie mogąc znaleść starszej i poważniejszej kobiety, zdecydowała się w końcu wziąć siedmnastoletnią Lidie...

Tymczasem pociąg przybył do stacji, Lydya usłyszała wymówione nazwisko Palm, wysiadła więc prędko z wagonu, i odszukała woźnicę pani T., który na nią oczekiwał.

— Mam dwa kufry i torbę — mówi Marja do niskiego o dobrodusznej powierzchowności człowieka.

— O jej, to bardzo dużo, pani hrabina wcale nie będzie kontenta, gdy przyjdzie jej zapłacić za podwójny pakunek.

— Cóż robić, kufra tutaj nie zostawię — odpowiedziała młoda kobieta.— A tymczasem bądźcie tak dobrzy i przyszlijcie kogo po rzeczy, bo bym chciała jak najprędzej być już na miejscu.

— Mała nie da jakoś się łatwo nastraszyć— mruczał starowina zwijając się około pakunków Marji.

Zaledwie odszedł stary woźnica, twarz Marji zbladła do niepoznania, i głębokie westchnienie wyrwało jej się z piersi. W swoim ubogim domku była tak szczęśliwą i przyzwyczajona do łagodnego postępowania, drżała na samą myśl spotkania się z hrabiną.

Kiedy stanęli przed domem, ukazała się panna służąca na ganku i wzięła nowoprzybyłą w swoją opiekę.

— Niech pani będzie tak dobra—mówiła— iść za mną na drugie piętro... U pani hrabiny są teraz goście, ale zapytam się, kiedy pani będzie mogła się z nią zobaczyć. Tak rozmawiając zaprowadziła Lidię do ciasnego, brudnego pokoiku, w którym zapach stęchlizny i innych zapasów spiżarnianych uderzył ją na wstępie.

— To tutaj mam mieszkać? — zapytała Marja spoglądając smutnie po odrapanych ścianach swego nowego schronienia.

— Tak jest; widzi panienka, jaka hrabina wspaniałomyślna! Cały dom wynajmuje, a ten pokoik umyślnie zachowała dla przyszłej lektorki. My młodsze, to doprawdy, w jakimś lochu mieszkamy.

— Bądź tak dobrą, otwórz okno, bo w tej stęchliznie udusić się przyjdzie.

— Jabym to dawno zrobiła, proszę panieki, ale hrabina nie pozwala, jednak uchylę trochę drzwi, to się przewietrzy... Już odjechali goście, bo słyszę głos pani hrabiny, pewnie nie chce płacić tak dużo za rzeczy pani, przepraszam panią, ale muszę iść do niej.

III.

Marja-Marta przedstawia się hrabinie.

Zaledwie Marja zdjęła kapelusz, poprawiła cokolwiek włosy i kołnierzyk, gdy panna Kerstin weszła do pokoju z oznajmieniem, że hrabina prosi ją do siebie.

Na te słowa, serce biednej dziewczyny gwałtownie bić zaczęło, przestrach i zmięszanie resztę odbierały jej odwagi. Najwięcej obawiała się niegrzecznego przyjęcia. Matka jej nadzwyczaj łagodnego usposobienia, ojciec toż samo, wykształcony człowiek, już od dzieciństwa zawsze i wszędzie zaszczepiali w niej wysokie poczucie własnej godności. Zeszła jednak prędko na dół i w wielkiej starożytnym gustem umeblowanej komnacie, spostrzegła siedzącą na kanapie panią hrabinę T. Mała, zgarbiona w podeszłych, latach kobieta o ostrych rysach twarzy, przedstawiała się niezbyt sympatycznie. Siwe jej oczy niespokojnie latały po pokoju, a zacięte mocno usta świadczyły o męzkiej prawie energii charakteru. Przenikliwym wzrokiem zmierzyła od stóp do głowy wchodzącą, która z dziecinną prawie nieśmiałością ukłoniła się z daleka.

— Jak się masz moja kochana — przemówiła dosyć łagodnie — podobasz mi się z powierzchowności, a przytem dużo bardzo dobrego słyszałam o tobie, moje dziecko; jako córka wypełniałaś tak pięknie swoje obowiązki...

Dla Marji było to coś tyle niespodziewanego, że odważyła się pocałować hrabinę w rękę, dodając: „Obowiązki względem rodziców są dla każdego święte, choć i względem pani hrabiny chciałabym być taką samą.“

— Dobrze, bardzo dobrze, moje dziecko, tak szczere postanowienie tylko zaszczyt robi tobie i twoim rodzicom... Jakże ci na imię, moja mała? Moje panny wołam zawsze po imieniu.

— Marta-Marja — odpowiedziała śmielej dziewczynka.

— A! prawda, teraz sobie przypominam; alež to jak w biblii! Zdaje mi się, że jednego będzie dosyć; Marta-Marja, jakie to długie imię do wołania, a przytem dla mnie i za trudne. Czy nie masz innego? Co to jest, że wszyscy, którzy dzieciom nic dać nie mogą, przynajmniej imion nie szczędzą.

Marja zarumieniła się na to i odpowiedziała:

— Na chrzcie dano mi imię Lidję.

— Doskonale! Lidja, bardzo lubię to imię. A więc droga Lidjo, ojciec twój jak mi się zdaje był urzędnikiem na komorze celnej?

— Tak jest, zajmował tę posadę, ale wprzód jeszcze był kupcem en gros w Sztokholmie.

— Aha, i tam zbankrutował?

— Z różnych powodów zmuszony był sklep zamknąć, a zaspokoiwszy wierzycieli, sam z resztkami jakie ocalił, wrócił do rodzinnego miasta, starać się o utrzymanie rodziny.

Wszystko to opowiadała Lidja z wyrazem pewnej dumy.

— Ile lat miałaś wtedy Lidjo?

— Nie całe czternaście i tutaj skończyła się moja edukacja, następnie już sama musiałam się kształcić.

— Teraz, moja mała, gdy opowiedziałaś mi wszystko, co mnie obchodzić może — rzekła zadowolona hrabina — muszę cię objaśnić o obowiązkach jakie cię tutaj czekają. Z początku życzyłam sobie żebyś spała obok mnie w gabinecie, ale ponieważ jestem teraz dosyć zdrowa, przeznaczyłam ci na mieszkanie pokój na drugiem piętrze, choć tracę na tem przynajmniej 70 talarów rocznie.

— Dziękuję bardzo — odpowiedziała Lidja — ale będę prosić żebym mogła otwierać okno codziennie, powietrze jest tam nie do zniesienia.

— Tak... to pewnie kucharka trzymała tam kwaśną kapustę i inne wiktuały. Co się zaś tyczy okna, dobrze, moja droga, niech i cały dzień będzie otwarte, zdaje mi się, że o ciebie nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

Lidja (gdyż odtąd już tak będziemy nazywać naszą bohaterkę), znów się zaczerwieniła i nic nie odpowiedziała.

— A teraz — mówiła dalej hrabina — wróćmy do twoich zatrudnień. Przedewszystkiem, lubię, żeby moja lektorka wstawała rano, tak, o szóstej najpóźniej; żebyś dopilnowała kawy, porządku w pokojach, i ciasta do kawy; później gdy zacznę się ubierać, przeczytasz mi jakiś ustęp z biblji lub innego pisma. W dnie targowe, pójdziesz na targ z kucharką dla zakupna wszystkiego na cały tydzień. W domu potrzeba, żebyś zawsze była czemś zajętą, coś szyła, naprawiała. Po obiedzie załatwisz moje korespondencje, a gdy kto przyjdzie mnie odwiedzić, dopilnujesz przyjęcia... Na lato jedziemy na wieś, a tam jeszcze więcej czeka cię roboty.

Lidja nie była w stanie spamiętać nawet tego szeregu nadludzkich wymagań, o których hrabina mówiła, ale nie pokazując najmniejszego niezadowolenia, słuchała cierpliwie.

— Tak, tak, moja kochana, sad mój i ogród, dużo potrzebują pracy. Gdy owoce i jarzyny dojrzewać zaczną, trzeba doglądnąć, które warto zerwać, a następnie sprzedać korzystnie. I gospodarstwo mleczne, wyłącznie do ciebie należeć będzie, moja mała...

Tu zatrzymała się hrabina, spoglądając badawczym wzrokiem na Lidję, jak gdyby chciała odgadnąć, jakie też to na niej wywiera wrażenie. Ale nasza bohaterka czuła się dosyć pewną zadosyć uczynić wszystkim wymaganiom staruszki.

Po krótkim odpoczynku hrabina mówiła dalej. Prawda, jeszcze jedno, ale zdaje mi się, że już ostatnie: w lecie bawi u mnie na wsi dwóch moich wnuków, a ponieważ dla podrastających chłopców, cały dzień zabawy to za wiele, chciałabym żebyś czytywała z nimi kilka godzin dziennie; czytanie nadzwyczaj młodych chłopców zajmuje, a przytem i sama odświeżysz trochę umysł, przypominając sobie coś z dawniej nabytych wiadomości. Wieczorem za to narwiecie zawsze kwiatów i poukładacie bukiety...

Teraz dopiero poczęła zastanawiać się Lidja, czy będzie w stanie wydołać temu wszystkiemu, jednak zdobyła się na zapytanie:

— Czy pani hrabina nie trzyma ogrodnika?

— I owszem... Mam chłopca i dziewczynę do ogrodu, ale ich także pilnować trzeba, ażeby nie sprzedawali kwiatów na swój rachunek. No, na dzisiaj dosyć! Idź do siebie czyść i przewietrzaj pókój, jak ci się tylko podoba. Za pół godziny herbata.

Gdy Lidja weszła, pokój był przewietrzony i uporządkowany, dobra Kerstin zrobiła co mogła, ale Lidja uczuła się w nim bardzo samotną

i przygnębioną; usiadła na sofie i zaczęła rozmyślać nad swojem obecnem położeniem.

— Bardzo miłe zajęcie i stosowne dla lektorki, myślała sobie, będę robić wszystko, tylko nie czytać. Ale trudna rada...

IV.

Lidja zaczyna swoją służbę.

Nazajutrz rano hrabina była w bardzo złem usposobieniu. Odebrany list był tego powodem.

— Usiądź przy biurku! — powiedziała do Lidji, gdy ta przyniosła kawę — masz odpisać na list mojej synowej. Doprawdy, nie wiem co jej się stało, chyba do reszty zwarjowała.

Lidja usłuchała rozkazu, i spokojnie bez wymuszenia zaczęła porządkować papiery na biurku.

Śledząc badawczym wzrokiem każdy najmniejszy ruch hrabiny, łatwo się było przekonać, że zachwycona jest Lidją. Staruszka miała ten zwyczaj naumyślnie swoim ostrym głosem i szorstkiem postępowaniem onieśmielać każdą lektorkę, Lidji nerwy kompletnie były nieczułe na podobne obejście.

— Czy jesteś już gotowa? — zapytała — więc zaczynaj!

„Czy można coś więcej bez sensu napisać jak ostatni list, jaki od ciebie odebrałam?... Wiesz dobrze, jak kocham moich wnuków, ale powtarzałam ci tyle razy, dlaczego nie chcę żeby przywozili z sobą kolegów, bo strzęsają mi jabłka, objadają agrest i porzeczki, niszczą nowo szczepione drzewka. Alež to za wiele szkody dla mnie; ty jednak nie chcesz tego zrozumieć i piszesz mi znowu, że siostrzeniec twego kochanego męża...“ Bo widzisz Lidjo, jej mąż nie jest moim synem, on biedak umarł już przed czterema laty, a ona po jego śmierci poszła drugi raz za mąż za jakiegoś bogatego głupca. Żeby to był naprawdę jeszcze bogaty, ale on nic nie ma, zabrał jej majątek i udaje pana. No, pisz dalej, na czem to stanęliśmy?

— „Że siostrzeniec twego kochanego męża.“ — czyta Lidja.

— A... że siostrzeniec twego kochanego męża, jakiś nowo wykwalifikowany doktór filozofji pan Edmund Rosenkranz, był tak dobry — może łaskaw jeszcze — i zdecydował się przyjechać do mnie na wieś, dla dopilnowania chłopców podczas wakacji. Po co chłopcom doktora filozofji? czy takim studjom mają się zamiar oddawać? Cóż to u mnie nie ma dozoru? Miałabym cały dom do góry wywrócić dla jakiegoś tam pana Rosenkranz; to czysto twój kaprys, moja Justyno. Proszę cię więc cofnij ten zamiar; zresztą nie miałabym go gdzie umieścić, tylko trzy pokoje są gościnne, jeden z nich zajęty a dwa przeznaczone dla was.“

Zawsze z przyjaźnią
Stefania T...

List odesłano na pocztę, lecz dopiero w czternaście dni przyszła odpowiedź. Pani T... była na wsi, i zirytowała się ogromnie, bo jak pisała synowa „nie można było cofnąć zamiaru, zresztą zdaje się, że pan Rosenkranz jest w drodze. Chłopcy dopiero za tydzień przyjadą.“

— A to przyjemnie!... Słyszałaś Lidjo! — mówi hrabina mnąc zawzięcie list w ręku. — Teraz mamy tyle zajęcia, bardzo potrzebny nowy ciężar. Załóż firanki, tylko dopilnuj, żeby były czyste.

— Dobrze — odpowiedziała Lidja — wszystko będzie w porządku.

— Moja droga każ upiec na jutro więcej ciasta. Młodzi ludzie mają wilczy apetyt. Kochana synowa dobrze za to zapłaci... pomięszaj pszenną mąkę z żytną.

Lidja uśmiechnęła się tylko, a ten jej spokój może tylko pozorny, i to pogodne usposobienie, rozweseliło nawet panią hrabinę.

— Złote dziecko — pomyślała — o takiej lektorce zawsze marzyłam. (C. d. n.)

KORESPONDENCJE

Wenecja 21 Stycznia 1879.

W zeszycie 3cim pisma *Tydzień*, Szanowny Redaktorze, w korespondencji z Kongresówki w sprawie mowy naszej jest wzmianka o wyrażeniu się: *puścił w trąbę.* — Czytam tam że profesor Skobel był w wątpliwości czy też całkiem nie wiedział zkądby u nas się wzięło powyższe wyrażanie się. Autor w odsyłaczu probuje wyprowadzić go ze zwyczaju po zakładach publicznych przesyłania rozkazów za pomocą rury w ścianach. Sądzę, że gdyby to było podobnem do prawdy i Skobel by na tę myśl wpadł. A dodam jeszcze żem się spotkał z tym sposobem wyrażania się, bodaj przed wprowadzeniem takich *rur*, które, jeżeli się nie bardzo mylę, pojawiły się najpierw w hotelu Europejskim w Warszawie. Piszący korespondencję z Kongresówki słusznie zwraca uwagę na każenie mowy naszej, ale, zdaje mi się, nacisk kładzie nie na najgorsze zło. Bo głównie mówi o wprowadzaniu pojedyńczych wyrazów z obcych języków — co, jeżeli ogranicza się na samych rzeczownikach, nie byłoby wielkiem nieszczęściem, a nie dosyć silnie się wyraża o wprowadzaniu obcych zwrotów mowy, i nic nie mówi o grożącem nam w tej rzeczy niebezpieczeństwie ze ściślejszego teraz obcowania ze społeczeństwem i z piśmiennictwem rosyjskiem. I właśnie owe wyrażenie się: *puścić w trąbę* bodaj że należy do tego rodzaju przemycanych do nas frazesów, które o tyle więcej szpecą i kaleczą mowę naszą, że często całkiem bezmyślnie i ryczałkowo bywają przyjęte. Pozwolę sobie dać moje objaśnienie w tej sprawie: Rosjanie, gdy kogo *puszczą z kwitkiem*, w ten lub inny sposób, tj. czy oszukują, czy zawiodą w nadziei, czy opuszczą, zaniechają, mówią: puścił w *trubu*. U nich wyrażenie się to, jest loiczne, bo to znaczy: puścić z dymem w komin od pieca, w luft, bo *truba* znaczy między innemi i *luft* od pieca. Zdaje mi się, że młodzieży warszawskiej podobało się to dosadne wyrażanie się i przyjęli go całkowicie, nie przerabiając go nawet według słownika naszego, tak jak przyjęli od Włochów, czy też z fars paryzkich robienia: *oczka*.

A dla tego jeszcze nie wydaje mi się właściwem ani prawdopodobnem wyprowadzania wyrażenia, o którem mowa, ze zwyczaju hotelowego, bo tam, mówienie przez rurę wcale nie oznacza ani trochę tego, co wyrażać zwykli teraz przez owe: puścić w trąbę, bo w większej części jest to porozumiewanie się i raczej zadosyćuczynienie żądaniu, nie odmowa. Co do ogólnej kwestji wyrażania się nie ścisłego, sądzę że dopiero dzielnie opracowany słownik Synonimów, mógłby tę sprawę poprowadzić na drogę właściwą, i pobudzać mówiących do pracowania i do pozbycia się tego lenistwa umysłu, które jest po większej części główną przyczyną, ciągłego zarzucania wyrazów swoich, uszczuplania zasobu mowy potocznej i posługiwania się wyrazami ogólnie europejskimi.

Taki słownik już musi być wykończony przez Wileńskiego biskupa Adama Krasińskiego, obecnie i od 1863 będącego na wygnaniu w Wiatce.

Z pewną trwogą liczymy ubiegające lata, bo nic o tej pracy nie słyszymy takiego, coby dało prawo spodziewać się prędkiego jej do użytku publicznego zjawienia się, a wiemy sami z doświadczenia, że praca ta byłaby bodźcem silnym dla młodzieży, do pracowania nad mówieniem i pisaniem ściśle, poprawnie i swojsko. *)

M. S.

Wschowa, w styczniu 1879 r.

(*Emil Zola o kolegach swoich — teatr niemiecki — moralność artystyczna.*)

Ostatnia publikacja Emila Zoli napsuła wiele krwi w Paryżu. Powieściopisarz-naturalista, jak się Zola sam nazywa, ogłosił w jednem z pism rosyjskich sądy swoje o powieściopisarzach francuskich, a uczynił to tak bezwzględnie, a nawet bez wszelkiego taktu, że się na niego słusznie nie tylko prasa Francji, ale i innych krajów oburzyła. „Figaro“ ogłosił w dodatku niedzielnym A. Pèriviera to pismo przygodne, a Paweł Lindau streścił je w swoim organie „Gegenwart.“ Posłuchajmy, co też Zola o swych kolegach mówi.

Naczelnikami dzisiejszej powieści francuskiej mianuje Emil Zola: Gustawa Flauberta, Edmunda de Goncourt i Alfonsa Daudet'a. Pierwsze i ostatnie imię znamy i za granicą, ale o środkowem nie wszyscy wiedzą. Dwóch braci de Goncourd uważają we Francji za autorów zdolnych ale nie pierwszorzędnych. Na łaskę Zoli zasłużył drugi brat, Edmund, ostatnią powieścią, w której opisuje dolę upadłej dziewczyny, a tak jaskrawych dobiera kolorów, że „naturalista“ w nim „swego“ dostrzegł. Po tej trójcy, pominąwszy oczywiście siebie, stawia Zola na drugiem miejscu: Hektora Malot'a i Ferdynanda Fabra. O Hektorze Malot powiada, że pierwszą powieścią swoją „Victimes d'amour“ stanął wysoko, wzbudzając wielkie nadzieje, jednak nadzieje czytelników w dalszym ciągu swych prac zawiódł. Ferdynand Fabre, autor znanej powieści „Abbé Figrane“, wzrósł między księżmi — mówi Zola — i dlatego może, na wspomnieniach oparty, odmalowywał ten stan, którego się dotknąć nie każdy ma odwagę. Ambicja, duma, żądza panowania, samolubstwo są tłem charakteru tych ludzi, z których niektóre tradycje urobiły osobną kastę. Nawet tego autora, który rzeczywiście wysoko stoi, chwali Zola tylko półgębkiem. Czuć, że nie lubi chwalić, choćby słusznie. „Abbé Figrane“ narobił swego czasu wiele wrzawy. Czytałem w pismach katolickich całe arkusze, których celem było ostrzegać „wiernych“ przed tą powieścią. Zola gani styl Fabra, który podług niego prowincjonalizmami trąci, a ostatecznie kończy tak: „sądzę, iż Fabre już nic lepszego nad „Abbé Figrane“ nie napisze.“ Wyżej wymienionych autorów, więc: Flauberta, de Goncourt, Daudet'a, Malota i Fabra nazywa Zola członkami szkoły naturalistycznej, spadkobiercami talentu de Balzac'a, za których przewodnika siebie uważa. Z kolegami jednego kierunku obchodzi się jeszcze jako tako przyzwoicie, boć to jego własna sprawa. Chwali gdzie trzeba, ale tylko półgębkiem, a gdzie

*) Pisma warszawskie podały niedawno wiadomość, iż praca biskupa Adama Krasińskiego jest zupełnie ukończona, i jeżeli się nie mylimy ma wkrótce być oddaną do druku. Przyp. Red.

może ganić, wrzeszczy na całe gardło. Bezwzględność taka zadziwia u kogoś, co jest sam autorem. Autorowie bywają zwykle łagodniejsi w sądach, zostawiając „zajadłe naszczekiwanie“ krytykom nieprodukującym.

Obok szkoły naturalistów znajduje się według Zoli we Francji szkoła realistów. Różnica między tymi dwoma kierunkami jest tak subtelna, że trzebaby jej poświęcić osobny list, o czem później. Zanim podam sąd o realistach, trzeba wspomnieć, że jedyną miarą dobroci lub bezwartości dzieła jest dla Zoli takie lub inne księgarskie powodzenie. Po każdym sądzie podaje Zola daty księgarskie. Im lepiej utwór „idzie,“ tem większą ma wartość. Łokieć taki jest bardzo względny, jak wiemy, bo utwory najpospolitszej natury, a mianowicie skandaliczne, odchodzą zwykle najlepiej, jak księgarze poświadczyć mogą. Takie np. powieści jak Adolfa Belot'a „Mademoiselle Giraud de femme“ albo „la fille du feu“, które drastycznością treści i formy przechodzą o wiele program naturalistów, które są śmieciskiem śmiecisk, zbogaciły w krótkim czasie księgarzy i autora. Z drugiej pisarz tego samego gatunku, Gaboriau, sprzedawał sto tysięcy swych elukubracji. Mniejsza lub większa ilość sprzedanych egzemplarzy nie może być nigdy miarą wartości dzieła. Naczelnikiem realistów jest według Zoli Champfleury. Pisze o nim tak: „żyje on jeszcze ale jest dowódzcą bez żołnierzy, a jeśli mówię, że żyje, muszę dodać, że literacko już dawno umarł. Champfleury był dowódzcą partji opozycyjnej przeciw panowaniu romantyków. Mimo rzeczywistego talentu, nie miał dość siły, aby wytrwać do końca. Oprócz tego ograniczył się na maleńkie pole. Reakcja przeciw romantyzmowi zapędziła go między drobne cele burżoazji, co swego czasu stanowił postęp, ale dziś do przeszłości należy. Początkowo wzbudzał zajęcie, ale dziś przeszła już publiczność do Flauberta i braci de Goncourt. Kiedy go czytelnicy opuścili, stracił Champfleury odwagę. Żyje jeszcze, ale literacko umarł najnędzniejszą śmiercią, bo zapomniany wśród życia. Wiem, że powieści jego, które się dawniej w tysiącach rozchodziły, dziś tylko w 400 egzemglarzach rocznie się rozchodzą“. Champfleury odpowiedział na ostatni zwrot we „Figaro“, dowodząc, że się Zola myli, bo powieść jego „le bourgeois de Molinchard“ sprzedano w r. 1877—78 w 12.000 egz., a nowe wydanie „Chieu-Caillou“ w 6000. Miłośniej obchodzi się Zola z autorem, którego za granicą wcale nie znają. Duranty'ego, autora „le malheur d'Henriette Gérard“, podobno warto czytać.

Odprawiwszy się z realistami, bierze Zola spadkobierców pani Sand i de Làmartine'a za kołnierz. Nazywa ich z przekąsem „łagodnymi, elegantami, idealistami, moralistami“. Weteranem tego kierunku, który od dłuższego czasu nic nie pisze, jest Jules Sandeau. „Odsunął się zupełnie od literackiego życia. Nie miał nigdy głośnych powodzeń. Jest on delikatnym, eleganckim pisarzem, który sobie połowicznością przekonań zjednał liczne grono kobiet, dziewcząt i tak zwanych ludzi wykształconych. Ma on stałą klientelę, a księgarz jego poświadcza, że prace Sandeau'a mają od wielu lat zawsze ten sam odbyt. Jak Jules Sandeau tak miał i Octave Feuillet swój czas powodzenia. Za czasów drugiego cesarstwa były powieści jego „Monsieur de Camors“, „Sibylle“, „Julia de Trécoeur“ ulubioną lekturą kobiet. Każdą z tych powieści rozsprzedano w pierwszem wydaniu w 300.000 egzemplarzach. Feuillet rozwadniał spuściznę Musseta i p. Sand. Jest tylko o tyle oryginalnym, że się zrobił rzecznikiem moralności i obowiązkowości, podczas kiedy mistrzowie jego bronili praw namiętności. Oktaw Feuillet przeminął, wyparty powodzeniem naturalistów. Ludwikowi Ulbachowi odmawia Zola wręcz wszelkiego talentu, a przecież autor ten, choć nie jest ani oryginalnym, ani pierwszorzędnym, należy do bardzo miłych i wprawnych opowiadaczy. O Ludwiku Emault powiada, że wynalazł pomadę idealog i syrop romantyczny. André Theuriet, milutki, wonny pieśniarz i nowelista, ma nieco łaski u Zoli; naturalista chwali go, ale po swojemu — jedną ręką dając, drugą biorąc. Cokolwiek trąci idealizmem, nie wytrzymuje krytyki w oczach Zoli. Szkoła idealistów— powiada — nie ma ani jednego zdolnego człowieka. Oprócz A. Theuriet'a są wszyscy pozasłużbowymi jenerałami w rodzaju Feuillet'a i Cherbuliez'a. „O Wiktorze Hugo nie mówiłem nic (Zola), bo ten zajmował zawsze wyjątkową pozycję; zresztą nie pisał on nigdy powieści, tylko poemata prozą, a dzisiejszy wpływ jego na literaturę równa się zeru. Idealny romans łamie się, rysuje i trzaska wszędzie; w krótkim czasie skona naturalną śmiercią dla braku autorów tego kierunku. Za lat dziesięć zginie zupełnie, ustępując miejsca naturalistom“.

W ten sposób nicuje autor wszystkich kolegów francuskich. Rezultatem tej rzekomej krytyki będzie twierdzenie: jam jest jedyną prawdą, a kto jest przeciw mnie, nie rozumie ducha czasu. Zoli nie może nikt odmówić wielkiego talentu. Jest to jeden z tych autorów, który stoi na przełomie dwóch epok, który ma rzeczywiście talent, ale jasnowidzenia nie odebrał w podziale.

— Pisma literackie Niemiec zajmują się od dłuższego czasu bardzo gorliwie sprawą teatru, którą znany zakaz prezesa szczecińskiej policji na nowo przed forum inteligencji powołał. Pan von Warnstedt (ów prezes) zakazał, jak wiadomo, w teatrze szczecińskim wystawę komedji Augiera „les Fourchambaeut“. Z okazji tego zakazu podniosło się głosów wiele, których przeciętnym akordem: potępienie policji. Chodzi przedewszystkiem o to, czy policja ma prawo mięszać się do spraw teatralnych. Konstytucja pruska zniosła cenzurę bez wszelkich ograniczeń i zastrzeżeń, a ponieważ i dramat do piśmiennictwa należy, więc nie miałaby policja prawa, które sobie sama przyznaje. Taka jest zasada, jeśli o nią chodzi. Jeśli dyrektorowie teatralni dotąd policji ulegali, czynili to dla tego, aby się w innych przypadkach nie wystawić na szykany „nie proszonych opiekunów“. Sprawę tę wniesiono do sejmu; rychłe ubicie jej jest więc kwestją niedalekiego czasu.

Z tej samej okazji roztrząsają pisma literackie, mianowicie Lindaua „Gegenwart“ kwestję moralności artystycznej. Co jest w sztuce moralne a niemoralne? Od niepamiętnych czasów dzielą się tu zdania na dwa główne obozy. Jedni odnoszą zwyczajną, powiedzmy religijną moralność do sztuki, a drudzy zgadzają się na to, że artyście więcej wolno jak kaznodziei. Pierwsi powiadają zwykle: artysta (dramaturg czy nowelista) powinien tak tworzyć, żeby go każda dziewica bez rumieńca słyszeć albo czytać mogła. W takim razie byłyby dzieła artysty po prostu książkami dla ludu lub dzieci, zdawkowym towarem z tendencją z góry moralizującą. W ten sposób pojęta moralność lub niemoralność nie może być nigdy miarą dla artysty, boć wówczas trzebaby wyrzucić z repertuarów i z czytelni trzy czwarte arcydzieł. Największe dzieło poetyckie Niemców „Faust“ nie wytrzymuje nigdzie krytyki tak pojętej moralności. Trzebaby wyrzucić Sofoklesa tragedje, mianowicie Edypa, Alfierego, Myrrhę, Plautusa, Amfitrjonę i Moliera cały szereg utworów, Emil Augier, autor inkryminowany, powiada w najlepszym swym utworze, „Lionnes pauvres“ bardzo wyraźnie: dla podlotków nie pisze się dramatów.

Celem przecież komedji jest naprawianie społeczeństwa za pomocą żywych przykładów, a gdzie się między ludźmi brudy znajdują, nie powinien się artysta wahać nawet tych brudów pokazać. Tak jest. Trzeba do utworów artystycznych przykładać koniecznie inną miarę moralności, bo inaczej przestaje być artyzmem, czem być powinien tj. zwierciadłem społecznego i psychicznego życia. Życie ludzkie, tak się ono rzeczywiście przedstawia, trzeba zaciągnąć do dramatu lub powieści, aby się ludzie mogli sobie przypatrzyć. Kaznodziei rzeczą wołać: nawróćcie się, albowiem nie wiecie dnia ani godziny, ale artysta przemawiający tak, byłby nudny. I on jest swego ludu nauczycielem i jego celem służba narodowa, wszakże inną jest jego droga i środki inne. On maluje życie, nie cofając się przed zgnilizną, on wydobywa utajone brudy na wierzch, on bowiem cięży żywym, dotykalnym przykładem nie zaś gołem słowem. Tej różnicy nie chcą moraliści ex cathedra zrozumieć; powód to, dlaczego potępiają z góry każdy utwor, który nie spiewa zwyczajnej nudnej melodji: kochajcie się, bądźcie szczęśliwi itd... Nie pierwszy Augier tak się bronił. Powiedział już to samo Gete a mianowicie dość dobitnie von Kleist, którego przecież o tendencje niemoralne nawet purysta nie posądzi. Rzeczą tedy pewną, że artyście więcej wolno, niż każdemu innemu, bo życie powszednie jest tak różnolite, iż trzeba jego z rozmaitych stron oświecać, a nie wszystkie strony bywają jasne, o czem wszyscy wiemy. Jakimże sposobem wyleczyć wady i oczyscić brudy? Zakryć je? Któż będzie je tedy widział? Rzecz zabawna, że temata, powtarzające się w powszedniem życiu bardzo często, wywolują burze, gdy je kto na publiczny widok wystawia. Jestto oczywiście obłuda społeczna, której wiele.

Więc wy kobiety sprzedawajcie się za pieniądze, za tytuł, za pozycją, za łachman inny, a artysta powinien napisać: z miłości za mąż idziecie. A ty młodzieży, uczysz się fachu dla chleba, a artysta wołać musi: z miłości do wiedzy, w myśli poświęcenia się pracujesz. Ty, urzędniku, kłaniaj się dla pensji przełożonemu, na któregobyś nie spojrzał, gdybyś go nie potrzebował, a nowelista śpiewać musi na temat o godności ludzkiej i tam dalej. Ładnieby to było, a podobałby się człek i podziwiałby go. Ależ rzeczywistość inną jest, a tylko ten ogółowi służy, kto prawdę mówi. Nierozumnem, pochlebstwem psuje się dzieci. Jestże ogół czem innem jak wielkiem dzieckiem?

T. Jeske Choiński.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Lwów dnia 30. stycznia.

Zgodzicie się ze mną młode czytelniczki, że trzeba być człowiekiem bez serca, aby podczas karnawału, właśnie gdy on się nieco żywiej ruszać poczyna, straszyć tam kogoś jakąś tam dżumą,

ktora gdzieś tam nad Wołgą miała się pokazać. Ze strony panów dziennikarzy, fakt taki jest co najmniej wielką impertynencją, jeżeli nawet nie zbrodnią. Otóż proszę was nie róbcie sobie z tego wielkich rzeczy, ja, który znam bliżej, mogę was zapewnić, że ta osławiona dżuma, wcale do nas nie przyjdzie. Najdrzód dlatego, że to jest choroba miejscowa, tamtym okolicom właściwa, bo nie ma roku aby pod nazwą dżumy, karbunkułu albo sybirskiej zarazy nie pojawiła się w tamtych stronach. Nawidzi jedną, drugą miejscowość, przerzedzi trochę ludność, mniej niżeli raporta urzędowe o tem donosić będą, lecz po za tę okolicę nie przekroczy. Dawniej, gdy nie było komunikacji kolejowych i telegraficznych i nie było tyle dzienników polujących na nowości, Europa nie troszczyła się, ani wiedziała co tam się na jej krańcach dzieje; dziś co innego, z pod ziemi wyciągną najdrobniejszy fakcik i z barana zrobią wołu, a przytem co nastraszą, co naniepokoją, to doprawdy przychodzi ochota takich gazet wcale nie czytać. Powtóre, gdyby nawet i coś podobnego istniało, to komisja sanitarna obradująca w Wiedniu, wzięła by się do rzeczy nadzwyczaj energicznie. Najprzód nie będziemy wpuszczać z Moskwy wagonów, potem gałganów czyli rzeczy noszonych i zużytych, potem skórek, odpadków, różnych wnętrzności, potem samych Moskali podejrzanych o zarazę, a gdy i tego będzie za mało, zrobimy formalny płot z żołnierzy i nie puścimy z tamtąd żadnej żywej duszy ziemią, wodą i powietrzem. Niech oni robią sobie tam co chcą ze swoją dżumą, niech ją duszą, niech dają się dusić, a nam co do tego? Wszak własna koszula bliższą jest ciała, niż cudza. Zresztą trzeba wam wiedzieć szanowne panie, że polska natura jest djablo wytrzymałą i tak już do wszelkich dolegliwości przywykłą, że jej się lada co nie chwyci. Tyleśmy już daleko gorszych rzeczy od dżumy przetrwali i żyjemy, więc da Bóg że i ta nic nam nie zrobi.

Otóż resumując to wszystko, mam nadzieję że dowodzeniami mojemi wyrugowałem już z ostatniego kącika duszy strach jaki tam mógł siedzieć, na co rachując zapraszam was choćby na jedną redutę lwowską. Powiadają wszyscy i piszą że się udała; być może miałbym przeciw temu coś do nadmienienia, ale vox populi, vox Dei, więc najlepiej osądźcie sami. Rrzeczywiście wszystko tam było co do reduty należy: pełno widzów na galerjach i w lożach wyższych teatru, dwie orkiestry, wiele światła, jeszcze więcej gotowych nakryć w bufecie, sześciu czy więcej literatów, dwóch artystów teatralnych, jeden hrabia i cały oddział policji. Nie brakło i straży ogniowej zapewne dla gaszenia spodziewanego pożaru uczuć zamaskowanych indywiduów płci obojej — słowem nie zapomniano o niczem prócz o maskach...

Tak, szanowni czytelnicy, masek w właściwem znaczeniu tego wyrazu nie było, bo nawet te kilkanaście kręcących się dam w przebraniu, zamiast masek miały zawieszone na twarzy deserowe serwetki z odpowiedniemi na oczy i nos otworami. Jak maski nie robiły sobie żadnej subjekcji ze swojemi kostiumami, tak też i my zwykli śmiertelnicy, nie wyłączając straży ogniowej chodziliśmy w kaloszach i futrach dziwiąc się tym co obsiedli galerje, czego oni tak dosiadują na swoich miejscach. Zapewne i ci z galerji również zaintrygowani byli naszą wśród sceny obecnością — i to właśnie stanowiło najciekawszą redutową intrygę.

O ile mogłem dosłyszeć niewinne zaczepki pseudo masek między sobą, lub między rycerzami odkrytego oblicza, ograniczały się ze strony męzkiej: „Masiu, masiu pójdź no tu kochanie, niech ci się przypatrzę" — a ze strony żeńskiej „kup wódki." Kto więc chciał mieć ten zaszczyt być atakowanym, musiał kupić wódki; dwie tylko maski ubrane stolarskiemi wiórami zażądały lodów, ale i tych nie jadły z powodu że były za zimne...

Dyrekcja nie szczędziła niczego aby uprzyjemnić widzom tę zajmującą zabawę, nie żałowała nawet starych kostiumów z rozmaitych oper, mianowicie z osób przedstawiających na scenie, tłum, gromadę, lub i tp. zbiorowe istoty. Suchą nogą wprost z krzeseł dostaliśmy się na scenę przedstawiającą jakąś pieczarę podziemną; oknem loży także po moście wchodziliśmy do sali sejmu galicyjskiego, przemienionej obecnie na teatr dla dorosłych i salę do tańca dla masek. Toż to dopiero prawdziwa ironja losu! I gdyby który z szanownych posłów zobaczył w tej chwili, jak w tem samem miejscu, zkąd on rzucał gromy naprzykład przeciw powiększeniu liczby posłów z miast galicyjskich, teraz kominiarz czy djabeł, bo trudno te indywidua rozróżnić, tańczył kołomyjkę z damą zamaskowaną w serwetkę, to jestem przekonany padłby trupem na taką profanację... A owa tancerka, trzeba przyznać, wcale nie gorzej wywijała złoconemi nóżkami, jak ongi poseł językiem, a złoto kapało jej z trzewików, a wióry leciały z ramion, zupełnie tak samo jak to się dzieje przy wygłaszaniu mow posługujących się z wiór frazesami...

Chcąc nie chcąc wprowadziłem czytelników na tor bardzo poważnych i filozofią tchnących rozmyślań, z czego wynika, że nawet taka rozkoszna zabawa, jaką jest reduta lwowska, może przyprawić o zadumę. Otóż widząc to wszystko dyrekcja, kiedy już żaden djabeł nie chciał się przewracać na scenie, dla uzyskania oklasków od widzów z galerji, o godzinie trzeciej raptownie gasi lampy pokrywając maski i nie maski, policję i straż ogniową a nawet sprawozdawców dziennikarskich nieprzejrzaną oponą ciemności. Muzyka zbiera swoje manatki, publiczność pilnuje swoich nosów, wiszące mosty trzeszczą, a biedne maski chwytają kogobądź pod rękę i finita comedia.. Otóż taką była reduta, która się udała!

Już jak się zapuściłem do litery R opisując redutę, pójdę dalej w tym kierunku uwiadamiając czytelników, że wielki Rubinsztein był, dwa koncerty dał i również dwa tysiące renskich zagarnąwszy do kieszeni pojechał w świat dalej uszczęśliwiać grą swoją Poznanianków... Boże drogi, cóż to był za rwetes przy szukaniu biletów na ten koncert.... jaki to zaszczyt dla Lwowa, że ten wielki izraelita z pod Bałty, po latach dwudziestu tryumfów raczył dostrzedz na karcie Europy, jak *Czas* powiada, ten nieznany mu kąt galicyjski i to dla mizernych dwóch tysięcy guldenów!... A za to ile zostawił boskiej melodji w duszy spoconych od ścisku słuchaczów? Morze, całe morze, ale co ja mówię Ocean.... Powiadają, że mistrz ten grał Szopena po swojemu nie tak jak sam Szopen lub jego uczniowie — alež to indywidualność jego taka!....

Wobec artystów z ducha i amatorów ze znawstwa, sprawozdawca tygodniowy nie moża mieć głosu... Poważy się tylko zrobić skromniutką uwagę, że z nami jeszcze nie jest tak źle pod względem finansowym, jeżeli na jedno skinienie mistrza zniesiono dwa tysiące kilkaset guldenów. Towarzystwo św. Wincentego à Paulo, które wydaje dziennie tylko dwieście obiadów ubogim miasta Lwowa, nie powinno rozpaczać, że kasa jego się wyczerpuje. Niech tylko dadzą ci, co nie mogli dostać biletów na koncert Rubinszteina cenę tych biletów — a biedni będą mogli żyć za to do wiosny...

Już to my Polacy nie mamy szczęścia do siebie. Tyle lat zbiera się fundusz na pomnik najpierwszego poety Mickiewicza, który od lat pięćdziesięciu i daleko lepiej od Rubinszteina gra na sercach naszych, a podobno nie zebrało się dotąd takiej sumy jak z tych dwóch koncertów... Ciężkie czasy na okazywanie wdzięczności narodowych!...

Co do wiru karnawałowego, nie możemy zapewniać, aby on dosięgał już swego zenitu. Dotąd nie mieliśmy żadnego z większych balów publicznych, tylko same tak zwane wieczorki tańcujące o skromnych toaletach i jeszcze skromniejszych kolacyjkach... Wszyscy narzekają na brak karnawałowego ruchu, na niskie ceny zboża, na brak odbytu, a panny na brak kawalerów... Zacni ci i przestarzali sensaci, wolą całe wieczory przenosić się z cukierni do restauracji, a dla odmiany i do kawiarni, niż zrobić kilkugodzinną ofiarę ze swych przyzwyczajeń dla przyjemności kobiet. Życie rodzinne coraz bardziej wygasa we Lwowie, młodzież nie lubi sobie zadawać subjekcji w towarzystwie płci pięknej nie pomnąc, że rodzina to mały kraj w miniaturze i jeżeli tam nie rozbudzą się, nie wzrosną i nie ogrzeją uczucia przywiązania do wszystkiego, co kochać należy — w sprawach publicznych później zabraknie materjału, z którego się naród ma odbudować.

* * *

W świecie muzykalnym tydzień ubiegły był dosyć jałowy. Wydawać się może nieprawdopodobnem, że w naszej arcymuzykalnej stolicy, rezydencji pp. Marka i Mikulego, posiadającej w swych murach setki wirtuozów, a tysiąc wirtuozek, jak o tem świadczą recenzje pism codziennych, nie odbył się w ubiegłym tygodniu ani jeden koncert. Tak jednak było. Zdaje się, że powodem tego niezwykłego zjawiska były koncerta Rubinsteina, nasi artyści wiedzą dobrze, że taki Rubinstein osuszył na długo kieszenie melomanów, a zresztą grać bezpośrednio po Rubinsteinie, to rzecz trochę ryzykowna nawet dla lwowskich genjuszów. Jedynym wypadkiem również muzykalnym, godnym zanotowania był debiut pana Totha, utalentowanego amatora w „Aidzie" Verdiego. Młody debiutant śpiewał partję Ramfisa. Dźwięczny jego głos basowy, pełny i wydatny o barwie dość jednostajnej we wszystkich rejestrach, podobał się powszechnie. Rozumie się samo przez się, ze p. Toth brak jeszcze bardzo wiele, aby mógł efekt robić na scenie. Posiada on tylko piękny materjał i dość czystą tonację. Ekspresji w śpiewie, deklamacji, delikatnego poczucia muzykalnego, nie dopatrzyliśmy się ani śladu w jego spiewie, a zresztą trudno nawet wymagać tego od młodego człowieka, który gruntowną nauką nie został wtajemniczony w arkana sztuki. Ludzie, którym prawdziwe dobro sztuki leży na sercu, żałują młodego debiutanta, że zawcześnie bez głębokich studjów wstąpił na scenę i obawiają się aby nie zmarnował szafując nieumiejętnie tego pięknego materjału, którym go natura obdarzyła. Obawy te nie są pozbawione podstawy, radzimy więc p. Toth, aby zwrócił swoją uwagę na rady ludzi miłujących sztukę, bezstronnych i sumiennych. W tych dniach, mieliśmy przyjemność być obecnymi na ćwiczeniu tygodniowem chóru męskiego Towarzystwa muzy-

rznego. Dobry chór męzki, liczny i dobremi siłami obsadzony od dawna był niedoścignionym ideałem, celem starań i zabiegów nie jednego z naszych przyjaciół spiewu. Brak wytrwałości, główna wada polskiego charakteru, i w tym względzie niszczył wszelkie usiłowania. Próby pp. Mikulego, Danka i innych osób były płonne. chóru nie można było zgromadzić tylko chwilowo. Obecnie jednak udała się ta sztuka czarodziejska. Kilku znanych amatorów zorganizowało chór silny i dobry, i jest wszelka pewność, że korporacja ta nie rozleci się na atomy za lada powiewem kapryśnego wiatru. Chór Towarzystwa muzycznego liczy przeszło 60 dobrych spiewaków, próby odbywają się regularnie pod kierownictwem pp. Cetwińskiego i Koronowicza, praca idzie dość ochoczo i sporo. Z początkiem marca chór ten urządza koncert na dochód swej biblioteki z bardzo zajmującym programem, który w swoim czasie czytelnikom podać nie omieszkamy. Wartoby, aby za przykładem lwowskich miłośników śpiewu, poszli prowincjonalni melomani; nie ma prawie miasteczka w któremby przynajmniej podwójnego, lub potrojnego kwartetu złożyć nie można. Trzeba tylko chęci a przy pracy można mieć pożytek i przyjemność.

BIBLJOGRAFJA POLSKA.

— *Antoniewicz Mikołaj Boloz.* Anna Oświęcimówna. Poemat dramatyczny w 5ciu oddziałach. 2gie poprawne wydanie z illustracjami Artura Grotgera, 8ka. str. 218. Wiedeń 1873. Cena 6 złr.

— *In necessariis unitas*, przez autora broszury: Austrja i Polska. 8ka, str. 12. Kraków 1879. 30 ct.

— *Kalendarz rolniczy.* Wydany staraniem Antoniego Strzeleckiego na r. 1879. 2 części opracowane. Warszawa 1878. Cena 2 złr.

— *Kantecki Klemens.* Artur Grotger. Szkic biograficzny. 8ka, str. 150 i dopełnienie. Lwów 1879. 1 złr. 50 ct.

— *Nabożeństwo dziewięcio-dniowe* do najświętszej Panny Marji matki Boga i królowej dobrej rady. 16ka, str. 66. Pelplin Gertzwald 1879. 16 ct.

— *Roepel Ryszard.* Dzieje Polski zeszyt III. od str. 161 do 240. Cena kompletu 6 złr.

— *Weckerlin J. B.* Musiciana. Wyjątki z dzieł rzadkich i mało znanych, Anegdoty, listy i tp. tyczące się muzyki i muzyków. Tłumaczenie Alberta Sowińskiego z przykładami muzyki. 8ka, str. 296. Paryż 1878. Cena 3 złr.

— *Żebrowski Oskar.* Obraz ogólny postępu społeczeństw ludzkich. 8ka, str. 168. Paryż 1879.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

*** Pan Albert Sowiński zaszczytnie znany kompozytor w Paryżu, wzbogacił świeżo literaturę naszą o muzyce przetłumaczeniem dzieła J. B. Weckerlina pt. *Musiciana*, wyjątki z dzieł rzadkich i mało znanych. Anegdoty, listy, etc. tyczące się muzyki i muzyków. Z przykładami muzyki. Spodziewamy się, że najnowsze dzieło to weterana muzyków polskich będzie sympatycznie powitane przez lubowników muzyki w kraju.

*** Pan Stanisław Przyniczyński, prezes centralnego Tow. gospodarskiego Górn.-Szlązka i patron kółek włościańskich wydaje w Bytomiu pismo p. t. *Postęp rolniczy*, którego drukuje 10.000 egzemplarzy. Karol Miarka zasłużony krzewiciel oświaty ludowej na Szlązku wydaje w Mikołowie pismo ludowe p. t. *Katolik.* W Prusiech zachodnich w Chełmnie wychodzi *Przyjaciel ludu* pod redakcją Danielewskiego. *Przyjaciel ludu* także liczy około 10.000 prenumeratorów. Oprócz powyższych wychodzi jeszcze kilka pism dla ludu pod zaborem pruskim. To też i oświata ludu tam stoi zupełnie na innym stopniu jak u nas, gdzie ani pisma ludowe nie rozchodzą się w dostatecznej ilości, ani literaturą, dla ludu nikt się nie zajmuje, ani w ogóle o oświacie i dobrobycie ludu nikt zgoła nie myśli wyjątek chyba stanowi ksiądz Stojałowski, który sam jeden krząta się na tem wdzięcznem polu i nie bezskutecznie. Wszakże pojedyńcze usiłowania bez poparcia wyczerpać się mogą. Tylko lud ruski w Galicji znajduje gorliwych krzewicieli oświaty w Towarzystwie Proświta, które niezmordowanie powiększa liczbę swoich pożytecznych publikacji, które tysiącami rozchodzą się pomiędzy ludem. Jaka to szkoda, że Proświta drukuje swoje książeczki jakiemiś hieroglifami a nie europejskiemi czcionkami, zagradza bowiem ludowi szukanie dalszej oświaty w literaturze europejskiej.

*** Nowe pisma w Warszawie: Dr. W. Kosmowski ma wydawać dwa razy na miesiąc pismo pt. *Kronika lekarska.* Edmund Jankowski dwa razy na tydzień *Ogrodnik polski.* Zawiszewski tygodnik p. t. *Rzemieślnik.* Józef Grajnert pismo tygodniowe illustrowane *Opiekun domowy pożytecznych zwierząt.* Zenon Rappaport dwa razy na tydzień pismo satyryczne *Telefon warszawski.*

*** W r. 1884 przypada 300 rocznica śmierci Jana Kochanowskiego. Na uczczenie tej rocznicy mają być wydane jego pisma w dwóch edycjach, ozdobnej, kompletnej i opracowanej krytycznie. wszechstronnie, oraz taniej. popularnej, z koniecznemi opuszczeniami niektórych fraszek. Zawiązał się w tym celu komitet w Warszawie i podzielił między członków prace. Tembardziej przyklasnąć należy temu projektowi o ile że nie ma w handlu księgarskim porządnie wydanej edycji dzieł nieśmiertelnego wieszcza z Czarnolasu.

*** *Mickiewicz i Towiański.* Pod tym tytułem zamieściło „Ateneum“ bardzo ciekawą pracę Piotra Chmielowskiego, jednego z najzdolniejszych współczesnych krytyków warszawskich.

*** *Historji zbrodni* Wiktora Hugo opuściły już prasę tomy III i IV.

*** Pan Stanisław Grudziński ogłosił drukiem poemat p. t. *Dwie mogiły*, osnuty na tle podań ludu ukraińskiego.

Zakłady publiczne.

*** Warszawski gabinet zoologiczny w ostatnich czasach uzyskał tyle ofiar od osób prywatnych, iż zbiory jego niepospolicie pomnożyły się, podnosząc zarazem znaczenie ich pod względem naukowym.

1. Hr. Konstanty Branicki, ten możny pan, znawca i miłośnik żarliwy przyrody, nie szczędzący własnych funduszów gdy idzie o dobro nauki, słusznie zatem „opiekunem i protektorem gabinetu“ nazywany, nabył właśnie w Paryżu bądź na wystawie, bądź to w zbiorach prywatnych (podług wyboru prof. Taczanowskiego), dla tegoż gabinetu najrozmaitsze okazy. Są tu:

z wystawy p. Boucard — komplet guatemalskich ptaków, składający się z dziewięćdziesięciu kilku gatunków (w tej liczbie rzadkości jak *geranospisa atrata*, rzadka bardzo w kolekcjach);

z sekcji kanadyjskiej — pewną ilość psów, ptaków wodnych (między temi pierwszeństwo oddać należy kanadyjskiemu łabędziowi (*cygnus leuccinator*);

z magazynu przedmiotów zoologicznych p. Bouvier — sto gatunków ptaków (głównie z rzędu grzebiących);

z magazynu p. Emila Deyroll — czterdzieści kilka gatunków kolibrów wypchanych (niektóre bardzo rzadkie i ozdobne), wreszcie pewna ilość papug i drobnych ptaków.

2. Znany chiński podróżnik p. Armand Dawid ofiarował dla gabinetu kilkanaście gatunków ptaków, między temi parę tylko faunie chińskiej właściwych.

*** P. Oberlhür z Rennes przeznaczył pewną ilość egzotycznych motyli i tęgopokrywych.

4. Dr. Marmotemps przysłał pudło owoców francuskich i hiszpańskich.

5. Dyrektor gabinetu wiedeńskiego podarował czterdzieści i kilka gatunków ptaków australskich.

6. Ks. Władysław Lubomirski zakupił w Paryżu i ofiarował 21 gatunków ptaków drapieżnych i piętnaście gatunków papug.

7. P. Stolcman nadesłał z Peru w początkach grudnia r. z. przeszło sto pięćdziesiąt gatunków ptaków, z których przeszło pięćdziesiąt zbiory nasze nie posiadały; ze zwierząt ssących okazy: łasice, zajączka dotąd nieokreślonego, kilka nietoperzy, kilka gatunków myszowatych i małego dydelfa; z gadów: jaszczurki i żaby; ryb kilkanaście gatunków; z owadów obfitość motyli; zbiór tęgopokrywych zawierający rzadkie i bardzo ciekawe formy; zbiór muszli lądowych rzadkich co do formy, ważnych dla nauki; zbiory pająków, raków i tp.

8. P. Jankowski wreszcie, dawny towarzysz doktora Dybowskiego, osiadły na wysepce Askolda, położonej przy brzegu morza Japońskiego w bliskości Władiwostoku, opatrzył gabinet różnemi gatunkami ptaków i motyli arcycennych.

* * *

JAN TOMASZ SEWERYN JASIŃSKI.

Szesnaście lat upłynęło jak zmarły w Warszawie Jasiński zamknął się w zaciszu domowem po trzydziestokilkoletniej, niezmordowanej działalności aktorskiej, reżyserskiej i dyrektorskiej; dziesięć lat mija jak Kazimierz Wojcicki oceniając tę pełną pożytku pracę, słusznie sąd swój o zasłużonym emerycie zakończył uwagą, że przyszły badacz dziejów teatru polskiego imię Jasińskiego wdzięcznem wspomnieniem otoczy.

W tej chwwili nie nadszedł jeszcze czas do kreślenia tych dziejów, nie podjąłby zresztą tak ciężkiego zadania piszący te słowa, ale uważa obowiązek, do danych biograficznych, które mówiąc wiele, nie wszystko jeszcze mówią, dodać to na co jako oddawna zbliżony z teatrem patrzał, i co ułatwić może przyszłemu dziejopisowi oddanie sprawiedliwości rzetelnym Jasińskiego zasługom.

Ktoby chciał życie i pracę Jasińskiego określić nowoczesnem wyrażeniem, miałby ku temu gotową dewizę — według której Jasiński może służyć za świetną illustrację zasady samo-pomocy.

Ale to określenie, noszące na sobie cechę wieku, nie zupełnie pasuje do ludzi dawnego autoramentu. Zasada bowiem, jakkolwiek nie nowa, boć i dawniej hartowne organizacje, pracą a walką, wydobywały się na wybitne stanowiska, na innym niż niegdyś wyrosła gruncie i dając człowiekowi siłę do pomagania sobie, zbyt często uzbraja go jednocześnie w sobkostwo, które ludzi, idee podstawia za szczeble prowadzące do fortuny, dostojeństw i godności.

Jeżeli więc mówiąc o Jasińskim wspomina się o samopomocy, to tylko dla tego ażeby zastrzedz, że w pracy pod tem hasłem dążył o własnych siłach nie do karjery ale do celu, który mu od lat najmłodszych w życiu przyświecał — do zasłużenia się scenie krajowej.

Kto tylko uważnie rozpatruje się w kilku datach zamykających życiorys Jasińskiego, ten w nich niewątpliwie więcej wyczyta prócz ogólników biograficznych rozpowiadających kiedy i z kogo się urodził, gdzie chodził do szkół, kiedy wstąpił do konserwatorjum muzyki i deklamacji i wiele potrzebował lat do przebycia całej hierarchicznej drabiny teatralnej — od skromnego aktora któremu wstępu odmówił teatr narodowy, aż do kierownika najpierwszej w kraju sceny, która w pewnym zakresie jemu świetność swoją zawdzięczała.

Uderzy tu każdego przedewszystkiem ta prawdziwa Odyssea maleńkiego teatrzyku w gmachu Dobroczynności, związana nierozerwalnie z nazwiskiem Jasińskiego i ten szlachetny charakter samopomocy, która wyrażała człowieka samoistnego w miarę jak innym pomagał i o sobie zapominał.

Żyją jeszcze ludzie pamiętający czem był Jasiński dla tego zawiązku przyszłego teatru rozmaitości, ile energji, zapału wlał w ten młodociany organizm, z jakiem zaparciem się, poświęceniem najsłuszniejszych, według dzisiejszego pojęcia wymagań, oddał mu na usługi zdolność swoją aktorską i pióro spożytkowując na korzyść sceny znajomość obcych języków, krwawym znojem i za cenę niejednego upokorzenia zdobytą.

My skłonni do wyrzekania i do przeceniania własnej pracy kosztem tych, którzy nas poprzedzili, nie możemy mieć dokładnego pojęcia co to było wówczas grać za wynagrodzenie 18 rs. 50 kop. i pisać darmo, a marzyć nie o polepszeniu sobie warunków bytu, ale o podtrzymaniu egzystencji instytucji, którą się umiłowało silniej niż własny dobrobyt, i której życiem, wzrostem. rozwojem wyłącznie się żyło.

I nie dziw, że ten teatr mający takich jak Jasiński przewodników wzmógł się na siłach, że młodziutka scenka uznana za godną opieki starszej swej siostrzycy dojrzała pod jej skrzydłami, że teatr roz-

maitości, którego pierwsze kroki prowadziła prawdziwie „dobroczynna" abnegacja poświęconych pracowników, stanął na silnym gruncie, na którym potrzebował już tylko rozumnego, silnego i sprężystego kierownictwa.

Tu znów spotykamy się z Jasińskim, z tą jego energią samopomocy, która po to tylko sięgnęła po władzę, ażeby ją na cele sztuki wyzyskać. Jasiński pełnił przez dziesięć lat obowiązki reżysera, a przez ośm lat był nauczycielem szkoły dramatycznej *bezpłatnie* i ten okres działalności niewątpliwie za najświetniejszy w całym jego zawodzie uważać wypada.

Wyborna znajomość mechanizmu scenicznego, bystrość w uprzytomnianiu sobie każdej najzawikłańszej sytuacji, i w ocenieniu doniosłości każdego efektu teatralnego, przytomność umysłu, żywość temperamentu; słowem, wszystkie przymioty nieocenione w aktorze ze szkoły Scribego, jeszcze doskonalszą była na reżysera kwalifikacją.

Miał Jasiński jeszcze i inną: doszedłszy bowiem po drodze ciężkiej pracy do przeświadczenia o własnej wartości, i we własnej godności szanując godność sceny umiał to uczucie nadać innym, i w starszych wiekiem artystach obudzić poszanowanie dla swej władzy wtedy nawet kiedy sympatji wzbudzić nie mógł.

Sympatję tę cenił sobie wielce, o ile mu na przeszkodzie do wytkniętego celu nie stawała — ale nic dla niej nie poświęcił, coby dobro sztuki na szwank narazić mogło. I dla tego mając oko na wszystko co tego dobra toczyło,—umiał wkoło siebie nie widzieć i nie słyszeć tego coby jego osobę przykro dotknąć mogło.

Epokę pracy organizacyjnej od 1842 do 1851 r. to jest dziesięciolecie najpiękniejszego sceny naszej rozkwitu, uwieńczyła nominacja Jasińskiego na dyrektora teatrów.

Grunt był po temu dobrze przygotowany, tak, że zajmując nowe stanowisko Jasiński rozszerzał tylko pole swej działalności.

A działalność ta była wszechstronna, i wkładająca na barki jednej osoby brzemię odpowiedzialności za rozwój i prowadzenie całej instytucjii. Przez dyrekcji reprezentował wtedy tylko nadzór ze strony rządu — podział zarządu na administracyjny i artystyczny nie istniał—dyrektor był wszystkiem, o wszystkiem myślał, wszystko wiedzieć, wszystko pamiętać, wszystkiem kierować musiał.

Nie uląkł się tego zadania Jasiński, jak zaś mu podołał, świadczy stan teatru w chwili, kiedy wysłużywszy emeryturę zapragnął wypocząć po mozolnej pracy. Zastęp pierwszorzędnych talentów obsługiwał repertuar dramatu, komedji, opery i baletu; scena rozporządzać mogła obfitemi zasobami dekoracyj świetnego pędzla, bogatych kostjumów, rekwizytów zbytkownych — wreszcie remanent w kasie świadczył o rządach oszczędnych i przezornych.

Taka wierna, uczciwa, obywatelska służba dobru publicznemu nie mogła zakończyć się egoistycznym spoczynkiem.

Jasiński zdobywszy sobie, prawie że mimochodem, byt niezależny na stare lata, spożytkowawszy w życiu dewizę samopomocy na cele nieosobiste, uważał się za szczęśliwego, że mu praca publiczna dała skromny kawałek chleba — i że wolen od trosk materjalnych, będzie mógł zupełnie już nie myśląc o sobie, z wszelką swobodą pomagać innym.

Mało kto zna ciche dzieje tych kilkunastu lat spędzonych w pokoiku, z którego okna pełen energji starzec spoglądał na ukochany swój teatr, jak ojciec rozciągający niewidzialną nad swem dziecięciem opiekę. Przyczynków do tych dziejów aż do chwili zgonu Jasińskiego, ściśle związanych z historją naszego teatru, dostarczyćby mógł zarówno strwożony debiutant śpieszący do „dyrektora" po otuchę, pomoc i naukę, jak i pierwszorzędny artysta, który nie wahał się w doświadczeniu Jasińskiego szukać rozwiązania niejednej wątpliwości, jak i poczynający reżyser, który jak najłatwiej pragnął zgłębić tajemnice scenarjusza.

A nietylko jednostki ale i instytucje całe spieszyły po pomoc do Jasińskiego. Teatra: krakowski i poznański, nie zawiodły się, licząc na gotowość niezmordowanego pracownika. Nawet warszawski w krytycznej chwili chciał losy swoje powtórnie złożyć w doświadczone ręce dawnego dyrektora.

Jasiński odmówił — bo czuł już w koło siebie inne prądy, inną atmosferę. Sam miłując scenę nad wszystko, nie mógł w innych braku miłości zrozumieć i uląkł się chłodu, wiejącego z wygasłego w świątyni sztuki ogniska.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, ostatniem polem działalności osiwiałego nestora sceny był ten sam teatrzyk Dobroczynności, w którym jako młodzieniec pełen marzeń, pierwsze postawił kroki.

Marzenia te potrafił Jasiński urzeczywistnić — co nie każdemu w życiu jest danem, a urzeczywistnił je w szerszym zakresie aniżeli może mógł się spodziewać, bo nazwisko swoje zespolił z historją polskiego teatru.

Zmarł w 73 roku życia, teatrowi poświęcając każdą chwilę przytomności i ulgi w cierpieniach.

Cześć pamięci uczciwego człowieka i niezmordowanego pracownika.

Władysław Bogusławski.

ROZMAITOŚCI.

*** *Podczas posiedzenia sądu karnego w Monachiwie* wezwał sędzia żandarma, aby wprowadził świadka. Żandarm otwarł drzwi, skinął na stojącego w tłumie człowieka i wskazał mu sędziego. „Jak się nazywasz?" zapytał sędzia. „Jakób Lorch" była odpowiedź. „Ile masz lat?" — „Sądzę, że to nie należy do rzeczy." „Odpowiadaj natychmiast ile masz lat." —„Trzydzieści trzy." —„Jakiej religji?—„Ależ panie sędzio? „Jeżeli się raz jeszcze ośmielisz zrobić uwagę, każę cię wpakować do kozy z chlebie i wodzie." „Jestem protestant." „Czy nie jesteś z oskarżonym w pokrewieństwie lub w powinowactwie?" —„Ale zkądże?" Co panu sędziemu w głowie? (*śmiech między publicznością*).—„Powstrzymaj się od niestósownych uwag, podnieś rękę do góry i przysięgaj," Ależ sądzę, że nio ma potrzeby" (*śmiech*).—Sędzia doprowadzony do największej pasji, powstaje i mówi podniesionym głosem: „Słowo tylko jeszcze, a pójdziesz do więzienia. Podnieś rękę do góry i powtarzaj za mną." I steroryzowany świadek podniósł rękę i powtarzał słowo za słowem za sędzią, aż do końcowej formuły: Tak mi panie Boże dopomóż. — „Co masz teraz powiedzieć?" zapytał sędzia.—„Piękny ukłon od pana pułkownika, który kazał pana sędziego prosić dziś o godzinie 8ej na wieczór, bo właśnie przywieziono sarnę z wczorajszego polowania" (*śmiech*) „Co? nie jesteś więc świadkiem?"—„Nie, panie sędzio! jestem służącym pana pułkownika. Kazał mi pana zaprosić, a niezastawszy go w domu, przyszedłem tu i żandarm pokazał mi pana."

*** Rodzina publicznością.

Feljetonista dziennika *Pester Llyod* opowiada zabawną historyjkę.

Ernest Loewenberg, fortepianista, wystąpił w Wiedniu z koncertem, na który — mimo niestosownej pory—zebrała się pełna sala publiczności.

Wieczór upływał wesoło... oklaskom nie było końca.

Po ukończeniu koncertu, którego wszystkie numera z zapałem oklaskiwała publiczność, poczęto wywoływać artystę, lecz —rzecz dziwna! —po imieniu Ernest! Ernest!

Wtedy dopiero wyjaśniło się w jakim stosunku do publiczności znajduje się koncertant i jak liczną posiada on rodzinę.

Wreszcie, gdy się w sali uciszyło, wystąpił na estradę poważny jegomość i uścisnął artystę.

Był to jego ojciec.

Widok ten nową wywołał burzę oklasków.

Wesoły koncert!

*** Rywal Edissona!

Stał się nim nie na żarty pewien dowcipny murarz włoski, który poprawił... akustykę kościołów!

Sposób jego polega na rozwieszeniu wzdłuż sufitu, lub nawy kościelnej poniżej sklepienia, cienkich nitek bawełnianych...

Próby czynione następnie w Edynburgu i w paryzkim kościele św. Marji de Camps wypadły wyśmienicie.

Głos kaznodziei płynął z siłą i wdziękiem po całym kościele...

*** Helcia jest „bardzo dobrze"..,

Tak zapewniały wszystkie ciocie, kuzynki i przyjaciółki.

W tych dniach Helcia znajdowała się na proszonym obiedzie.

Opowiadano zabawną historyjkę, która wzbudziła ogólną wesołość.

Wszyscy krztusili się od śmiechu.

Jedna tylko Helcia pozostała niewzruszoną.

— A pani—rzekł jej sąsiad—a pani cóż nie śmieje się?

— Dziękuję panu—odparła pięknie wychowana Helcia—już się śmiałam...

Wszak prawda, iż Helcia jest... „bardzo dobrze."

*** Głuchoniema krowa!

O ciekawym wypadku w świecie zwierzęcym opowiada profesor dr. Haubner w artykule o dzisiejszym stanie weterynarji.

Właściciel ziemski p. A. F. w S. posiada dwunastoletnią głuchoniemą krowę rasy allganskiej.

Zwierzę to nic nie słyszy, a kiedy w czasie karmy ujrzy inne swe towarzyszki ryczące, albo kiedy się weźmie ciele, robi ruchy takie same, jakby miała ryk wydać, tj. wyciąga kark i łeb, otwiera paszczę, lecz wydaje tylko ciche, krótkie, gardłowe tony.

Czworonożna kaleka jest bardzo czujną, ma też wzrok nadzwyczaj bystry.

W organie jej słuchu i głosu nie odkrył dr. Haubner nic anormalnego.

Ośm już cieląt miała ta krowa, lecz nie można było obserwować czy oddziedziczyły po matce kalectwo, ponieważ wszystkie sprzedano rzeźnikowi.

*** Dr. Gerber, pedagog bydgoski, oświadczył niedawno w charakterze urzędowym, iż język polski należy już do martwych i nie ma dziś żadnej literatury!

Berl. Börs. Courier, wesoły chłopak nadsprejski, jest nieco łagodniejszy, z okazji bowiem wystawienia „Paziów królowej Marysieńki" w Poznaniu zauważyć raczył, iż „teatr polski posiada swoją własną literaturę a nawet własną muzykę"!!!

Zauważyć raczył ze zdziwieniem!

*** Najbrzydszy!

Pewien bogaty Amerykanin, bawiąc w tych dniach w Brukseli, ściągnął tam na się powszechną uwagę.

Powodem, dla którego tłumy nieustannie ku niemu zwracały swe oczy, była nieludzka jego brzydota!!

Na jednym z wieczorów u amerykańskiego posła opowiedział on tam co następuje:

Dość niedawno temu bohater nasz mieszkał w Newark, New-Jersey.

Wiedział on doskonale, iż był nieustannym powodem do żartów i koncepcików.

Chciał więc się upewnić czy nie ma w całem mieście brzydszego odeń człowieka...

W tym celu ogłosił w gazetach, iż zebrała się właśnie specjalna komisja mająca za zadanie najbrzydszemu mieszkańcowi Newarku wypłacić tysiąc dolarów.

Oznaczonego dnia zjawia się sam w pośród sześćdziesięciu, co najmniej, konkurentów...

Po odbytym egzaminie okazało się, iż był on sam najbrzydszym, prezydent nawet sam uznał go za godnego nagrody!

Otrzymał więc z powrotem swoich dolarów tysiąc!

DJABEŁ W ŁÓZKU HOTELOWEM.

Przez

Wiktora S. Van Bergh.

Podczas corocznych wyścigów w departamencie Calvados, oberże przepełnione są podróżnymi. Kilka lat temu, pewien wesoły młodzieniec po wyjściu ze szkoły Saumur miał zwyczaj uczęszczać na każde wyścigi tak w Paryżu jak i we wszystkich innych miastach Francji. Zręczny jeździec, uzyskał on kilka nagród na wyścigach w Saumur i zwrócił na siebie ogólną uwagę, ujmującą postacią i zgrabnością w grach karuzelowych. Był on równie wesołym jak odważnym i śmiałym i dla jakiegokolwiek żartu albo i dla wypróbowania znarowionego konia byłby chętnie się naraził na złamanie karku.

W Caen Maksymiljan Coulon zajeżdżał zwykle do hotelu Świętego Piotra, gdzie gospodarz pan Rémond, zatrzymy-

wał dla niego zawsze jeden i ten sam pokój, przenosząc go po nad wszystkich innych gości. Ale w roku tym, kiedy miało miejsce wydarzenie, jakie tu opiszemy, Maksymiljan, który zwyczajnie przybywał do miasta na dwa lub trzy dni przed wyścigami, nie dał znaku życia, choć już nadeszła wilja rozpoczęcia wyścigów. Wieczorem napływ podróżnych był taki, że pan Rémond widział się zmuszonym oddać pokój Maksymiljana jakiemuś młodemu Paryżaninowi, który obszedłszy wszystkie hotele w mieście nie mógł nigdzie dostać mieszkania.

Około dziesiątej wieczór pan Rémond stał przed drzwiami domu używając świeżego powietrza. Nagle zawołał z przerażeniem na służącę Joannnę:

— Na miłosierdzie boskie, spostrzegam pana Maksymiljana Coulon na zakręcie ulicy świętego Jana, zwraca się ku hotelowi, a tyś już rozporządziła zdaje mi się jego pokojem.

— Pan Maksymiljan! Ah! co za szkoda, nie spodziewałam się, żeby przybył o dziesiątej wieczór. Co robić! numer 21 zajęty i ani jednego wolnego pokoju w całym domu już nie mamy.

— Jakto, Joanno, oddałaś mój pokój! — zawołał młody człowiek, który zbliżywszy się do drzwi usłyszał ostatnie słowa służącej.

— Przysięgam panu, panie Maksymiljanie, że go zatrzymałam aż do przybycia ostatniego pociągu. Ale ponieważ już upłynęła godzina od czasu jak dzwoniono, więc myślałam, że pan już nie przyjedzie.

— To prawda — odezwał się Maksymiljan — źle zrobiłem zatrzymując się w drodze. Lecz że nie znąm niko w Caen oprócz pana, panie Rémond i przyzwyczajony jestem do usługi Joanny, zatem nie ruszam się ztąd.

— Ale gdzie pan spać będzie?

— Na kanapie.

— Nie ma już żadnej wolnej i czworo dzieci śpi w bufecie pod namerem 19, a oto właśnie, ten pan, który zabrał pański pokój.

Był to widocznie młody kogucik, któremu piórka zaczynały dopiero odrastać. Wszedł poprawiając rogi wykładanego kołnierzyka i dłubiąc w zębach pozłacanym wykłuwaczem.

— Będę miał moje łóżko — mruknął do siebie Maksymiljan — Joanno — dodał głośno — przynieś mi półmisek jakiegokolwiek jedzenia, butelkę wina burgundzkiego, nakryj mi obok tego młodego księcia, który ci kazał dać grogu i posłuchaj co ci powiem do ucha.

Joanna odeszła wybuchając głośnym śmiechem i każdy ktoby ją był śledził byłby widział jak wchodziła do numeru 21go z wielką miednicą mosiężną w ręku, a wychodziła z próżnemi rękami.

Maksymiljan zajął miejsce obok naiwnego wojażera. który bezprzestannie dłubał w zębach swoim pozłacanym wykłuwaczem.

— Józefie, zabierz mi to, będę jeść ser.

— Ale panie — rzekł Józef usługujący do stołu — ten kawałek pieczeni jest wyborny.

— Być może, ale słyszałem w drodze, jak wasz furman skarżył się na śmiertelność koni. Zabierz mi to.

Młody podróżnik zbladł i przestał dłubać w zębach i chwycił się mimowolnie za gardło, jakby coś przez nie z trudnością przecisnąć się miało.

— To jest bardzo zly hotel — ciągnął dalej Maksymiljan zwracając się do właściciela zagiętego kołnierzyka — nigdy tu nie staję, chyba wtedy gdy wszystkie inne są przepełnione, jak dzisiaj z powodu wyścigów.

— Tak, panie.

— Raz wypłatali mi figla, którego nigdy nie zapomnę. Żałuję biedaka co spać będzie w tym pokoju, który wtedy zajmowałem.

— Czy można wiedzieć jaki to był figiel? — zapytał młody człowiek z zajęciem.

— O niezawodnie; nie wiem tylko czy mi pan uwierzy, tak nieprawdopodobnem wydawać się może ten wypadek. Mogłbyś pan myśleć że żartuję.

— Oh! nigdy panie.

— Bo to widzi pan tak wygląda jakby się wracało z tamtego świata, gdy się mówi w naszych czasach o pokoju odwiedzanym przez duchy.

— To musi być okropne?

— To tylko rzecz pewna, iż w tym hotelu znajduje się pokój, w którym sam na własne oczy widziałem jednego ducha. Jestto pokój ze starym zakopconym zegarem, uwięzionym w szklanną skrzynkę w formie trumny.

— Ależ to jest numer 21, to mój pokój! — zawołał młody kogucik zsiniały ze strachu jak obskubane kurcze.

— Cicho! na miłość boską! gdybym był wiedział, nie byłbym nic panu o tem wspominał.

— Niech pan mówi, proszę. Nie jestem przesądnym ani bezrozumnie łatwowiernym.

I mówiąc to naiwny chłopiec obcierał chustką spocone czoło i połykał sporą ilość gorącego grogu.

— Wreszcie kiedy pan tego wymagasz, to mu opowiem całą historję. Trzy lata temu co do jednego dnia przybyłem tu wieczór i umieszczono mnie wraz ze wszystkiemi mojemi rzeczami w pokoju nr. 21, jedynym pokoju z całego domu, jak mi powiedziała służąca, jaki pozostał niewynajętym.

— To samo i mnie dziś powiedziała ta jaszczurka — przerwał łatwowierny młodzieniec.

— Podróż mnie zmęczyła niesłychanie — ciągnął dalej Maksymiljan — położyłem się więc do łóżka w chwili gdy na zegarze biła północ. Zanadto wielkie zmęczenie odebrało mi sen, postawiłem zatem świcę na stoliczku nocnym i zabrałem się do czytania. Czytałem zaledwie mniej więcej kwandrans gdy uczułem gwałtowne uderzenie w żołądek; zegar wybił w tej chwili kwandrans... Zerwałem się i siadłem na łóżku, w pokoju nie widać było nic tak nadzwyczajnego, coby mogło mi wyjaśnić ten niezwykły fenomen. Przypuszczając, iż jestem igraszką przykrego snu, który mnie bezwiednie opanował, zabrałem się napowrót do czytania. Trwało to znowu około kwandransa. Nagle po raz drugi odebrałem dwa uderzenia w same piersi, gwałtowniejsze o wiele niż poprzednio. Tego już było zanadto, wyskoczyłem z łóżka postanawiając sobie walczyć do upadłego przeciw rzucającym się na mnie napastnikom. W pokoju nie było nikogo.., na zegarze biło pół godziny.

— Przynieście mi jeszcze raz grogu! — zawołał łagodny młodzieniec, którego wygięty kołnierzyk zaczynał powoli tracić swoją sztywność.

Gdy grog podano, Maksymiljan Coulon ciągnął dalej.

— Mimowolnie uchwyciłem za sznurek od dzwonka, lecz natychmiast dziwne uczucie wstydu mnie opanowało. Mogę się stać pośmiewiskiem całej służby hotelowej, jeśli nie potrafię jesno i wyraźnie określić z jakiego powodu wzywam pomocy. Postanowiłem więc nie robić hałasu i mieć się tylko na ostrożności. Siedząc bezczynnie na łóżku, oczy moje zatrzymały się przypadkiem na starożytnym zegarze. Nie wiem dlaczego przyszła mi nagle myśl, że tajemnica tej niewidziałnej napaści musi mieć jakiś szczególnieiszy związek z tą szklanną skrzynką o dziwacznej formie, lub z samym zegarem. W tej chwili większa wskazówka zbliżała się do liczby 9 i w tym momencie kiedy się zatrzymała na samym jej środku, ja odebrałem trzy uderzenia wyraźne i równie gwałtowne jak poprzednie, z tą tylko różnicą, iż tym razem były wymierzone w kark. Zegar wydzwonił trzy kwandranse. Nie ma co się zastanawiać dłużej, pomyślałem, widoczna rzecz, iż coś musi być zepsutego w tym zegarze i że jakaś nieznana ręka zrzuca na moją głowę odpowiedzialność za ten nieporządek. Cóż tu robić? Przedstawić się wszystkim w hotelu za szaleńca lub idiotę? nie, o tem nie można było nawet myśleć. Uznałem, że nie ma innej rady jak wszystko postawić od razu na kartę. Wyskoczyłem z łóżka i zbliżywszy się po cichutko na palcach, otworzyłem ostrożnie szklanne drzwiczki od zegara i zatrzymałem wahadło. Teraz, mruknąłem, nie będzie już mógł bić godzin i kwadransów i zarazem odbijać ich na moim karku. I z uśmiechem wyraźnego zadowolenia, iż potrafiłem znaleść się tak dowcipnie, powróciłem się położyć.

— To było rzeczywiście bardzo zręczne — zauważył młody elegancik połykając czemprędzej swój grog, jakby dla dodania sobie odwagi.

— Nie upłynęło więcej jak pięć minut czasu, od chwili jakem się położył — opowiadał dalej Maksymiljan — kiedy usłyszałem, że drzwi od szklanej skrzyni otwierają się powoli. Wyznam panu szczerze, iż wtedy zacząłem drżeć.

— Bardzo temu wierzę...

— I niechże pan sobie wyobrazi, że to było wahadło, które ześliznąwszy się bez najmniejszego hałasu ze skrzynki, zwróciło się w podskokach ku mojemu łóżku. Trzeba jeszcze dodać, iż było ono zakończone twarzą otoczoną promieniami, dosyć podobną do pozłacanego słońca i że przysunąwszy się do mnie zrobiło koziołka i swoją szkaradną twarz położyło na mojej twarzy. Wydałem przeraźliwy okrzyk trwogi.

— Cicho! powiedziało mi.

— Jakto! wahadło mówiło?

— Tak panie. Powiedziało ono:

„Nie umiem dosyć wyrazić panu mojej wdzięczności, za to żeś przerwał na chwilę ciężkie roboty do jakich jestem skazany od długich już wieków. Jeśli pan pozwolisz to się położę obok ciebie, gdyż marznę z zimna.“

— I nie czekając mojej odpowiedzi weszło do łóżka dodając:

— Pan nie wie zapewne, że ten pokój jest „naszym.“

— Jakto! waszym?

— Tak! moim i innych kółek od zegaru. Człowiek który nas własnemi utworzył rękami umarł w tem łóżku i umierając przekazał nam na własność ten pokój... Czy nie doznał pan przypadkiem jakiego nieprzyjemnego uczucia?“

— Spodziewam się — odpowiedziałem — i to po kilkakrotnie.

— Ah! to dźwignie, w podobny sposób obchodzą się one z wszystkimi obcymi przybyszami, dopóki tylko jesteśmy w ruchu, ale są zupełnie nieszkodliwe, gdy praca nasza zostanie zatrzymaną. W takich razach, ja sam przychodzę na kilka godzin odpocząć do łóżka... Ale już blisko wpół do drugiej, życzę panu przyjemnego snu.

— Dobranoc, odpowiedziałem, drżąc od stóp do głów. To dopiero miły los, pomyślałem, czeka tych którzy sypiają w tym pokoju. Albo mogą być okryci sińcami gdy zegar idzie albo też skazani są, gdy zostanie zatrzymany, na przyjęcie mosiężnego wahadła za towarzysza do łóżka. W tej chwili przypuszczam, iż wahadło musiało usnąć, ponieważ rozpoczęło swoje monotonne i nieustające tik-tak, co nie pozwoliło mi spać przez całą noc.

— Kelner, jeszcze szklankę grogu! — zawołał młody człowiek zsiniały.

— Nie! tego już będzie dosyć — powiedział Maksymiljan. — Nie radziłbym panu pić więcej. Weź pan już klucz i świecę i idź się położyć spać.

— Położyć się spać do łóżka w numerze 21szym? — zawołał przerażony młody człowiek. — Nigdy!

— Mój kochany przyjacielu, być może iż rzeczy się zmieniły od tak dawna już... Idź do swego pokoju, a gdyby się ci się wydarzyło coś nadzwyczajnego, to będziesz mógł łatwo zadzwonić. No, chodźmy, odprowadzę pana aż do samych drzwi.

Młody człowiek ośmielony wziął świecę ze stołu i obydwaj nowo zaznajomieni doszli razem, aż do drzwi numeru 21go.

— Otośmy przybyli już; dobranoc panu — rzekł Maksymiljan do swego towarzysza.

Wytworny mlodzieniec nie chcąc okazać całego swego przestrachu, nie zaprosił Maksymiljana Coulon, ażeby wszedł z nim razem do pokoju. Wreszcie zdecydował się wejść sam, lecz zostawił drzwi na wpół otwarte. Po krótkiej chwilce przeraźliwy krzyk dał się słyszeć z wnętrza pokoju i odważny młodzieniec ukazał się napowrót z włosami najeżonemi na głowie i twarzą wykrzywioną z przestrachu.

— Co panu jest? — zapytał Maksymiljan.

— Jest tam w łóżku, leży spiąc głęboko. Uczułem go, usłyszałem jak robi tik-tak... Nie spałbym w tym pokoju za całe skarby świata.

— Ah, mój Boże! i cóż pan teraz zrobisz?

— Będę spać na wschodach... Gdybym mógł przynajmniej zabrać kuferek z rzeczami, które w tym przeklętym pokoju zostawiłem.

— Zaraz go panu przyniosę. Ja już się nie obawiam wahadła, jesteśmy już bowiem starzy znajomi i dobrze się znamy.

Po chwili naiwny młodzieniec ciągnął za sobą po wschodach swój kuferek z wielkim zgorszeniem uśpionych już gości, szedł umieścić się na ławeczce w kawiarni hotelowej.

— Joanno — szepnął pocichu Maksymiljan Coulon do służącej — każ zanieść moje rzeczy do pokoju pod numerem 21 On już do mnie należy; zdobyłem go. A nie zapomnij zabrać z sobą miedzianej miednicy, teraz mi ona nie potrzebna.

Nazajutrz odważnego młodego człowieka nie było już w mieście. Oczekując dnia kazał sobie po kilka razy podać grogu i pierwszym pociągiem o piątej godzinie uciekł z powrotem do Paryża.

Treść Nr. 1.

Z drukarni Dziennika Polskiego.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Józef Laskownicki.